

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 15 PAŹDZIERNIKA 1927 ROKU

NR 42

TREŚĆ NUMERU: Jeszcze raz o... czystości — *Dr. Herminja Naglerowa*. „Nasz wrodzony wdzięk“ — *M. H. Szpyrkówna*. Wiersz: „Romans“ — *Wiktoria Rymwid-Mickiewiczowa*. Księżna Łowicka (c. d.) — *Adam Czartkowski*. Koszula Dejaniry (nowela) c. d. — *Herminja Naglerowa (J - a Stycz.)* Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Ś. p. Marja Lisowska — *Stanisława Czajkowska*. Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i R. C. H.* Z teatrów — *h. n.* (w zastępstwie). Z wydawnictw — *E. K.* Odpowiedzi redakcji. Coś niecoś o gentlemenach warszawskich i anglosaskich (c. d.) — *Han. Skar.* Hodowla winogron (c. d.) — *Zofja Lempicka*. Jak przyjmuje amerykanka — *N. J.* Nowe zwyczaje — *S.* U Boguchwała Myszkorowskiego — *Well*. Wystawa przemysłu hotelowego, restauracyjnego i cukierniczego w Poznaniu — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Klejnoty — *Well*. Szafka na książki i drobiazgi. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz“ — *Douglas Goldring* — autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Tablica krojów.

JESZCZE RAZ O... CZYSTOŚCI

Z prawdziwą przyjemnością stwierdzam, że artykuł mój p. t. „Inspektorat do walki z brudem i niechlujstwem“ (nr. 29 „Bluszczu“) nie minął bez echa, i że sprawą, którą w artykule omawiałam, interesuje się wiele czytelniczek i czytelników „Bluszczu“. Wśród t. zw. głosów publiczności, które nas doszły, niemal wszystkie szły po linii moich wywodów. Jeden tylko list przeciwstawił się zarówno twierdzeniu, „że w Polsce jest brudno“, jak i konkluzji, iż należałoby stworzyć coś w rodzaju inspektoratu do walki z brudem i niechlujstwem.

W liście tym jest jednak sporo uwag słusznych, jest pozatem dobra wiara w prawdę kontrargumentów, i dlatego raz jeszcze podejmuję sprawę czystości, by szanownej autorce listu przedstawić moje wcale nie gołosłowne racje.

Moja kontrahentka ma mi szczególnie za złe, że ośmieliłam się krytykować czystość na kolejach, twierdzi bowiem stanowczo, że... „stałe, od kilku lat nie znajduje najmniejszego powodu do brzydzenia się czemkolwiek, wchodząc do polskich przedziałów, i to nietylko w II klasie, ale i w III, której śliczne, nowe, olbrzymie wagony, kursujące na głównych linjach, zdumiewają cudzoziemców, i w których, patrząc pilnie, nie widział ani kawałeczka papieru, ani niedogarka na podłodze“.

Nie trzeba dowodzić, że autorka listu musiała na owe czystości patrzeć przez różowe szkła. Miałam właśnie i ja sposobność w miesiącach wakacyjnych tłuc się kolejami po Polsce i zagranicą, lecz niestety, —

takie już moje nieszczęście — że niewiele dobrego i miłego mogłabym powiedzieć o czystości naszych wagonów. Widziałam, jak na Dworcu Głównym w Warszawie porządkowała pewna zażywna niewiasta, szorując, nibyto, podłogę wilgotnymi trocinami. Była to robota ogromnie interesująca, niemal rzewna w swej prostocie. Dama, potracając nieuprzejmie publiczność, fikała szczotką, jak popadło, poczem prócz kurzu, śmiecia i plwocin wzbogacił się krajobraz podłogi niedomiecionymi trocinami.

W artykule moim zajmowałam się nietylko kolejami: mówiłam o wszystkich bolesnych i zawstydzających niedomaganiach czystościowych i — Boga mi! — mówiłam szczerą, dowiedzioną prawdę. Lecz czcigodna autorka listu ma do mnie szczególny żal jedynie z powodu owych kolei. Mówi przytem tak miło o naszych nowych, białych dworcach, że powinienam zacytować jej słowa: „Co do dworców, to nigdy nie mogę się nasycić architekturą i białością, tak, białością nowych polskich dworców, pobudowanych choćby na linii do Lublina, choćby w Szymanowie pod Warszawą. To zupełne zerwanie ze wzorami zaborczymi, ze wszystkim, co w całej Europie jest dworcem kolejowym, ma w sobie coś z niezwykłej odwagi, coś tak swoistego i nieoczekiwanego...“ Tak, przyznać trzeba, że te nasze nowe, małe dworce są pełne uroku; ich białość cieszy, zachwyca, bodajże podnosi na duchu; ale poczekajmy jeszcze rok, dwa, ale zajrzyjmy już dziś tam, gdzie z okien wagonu wzrok nie sięga, a zapomnimy o szkarpach i swoistej

architekturze, bowiem nie wzrok już, a węch sam podniesie kichający protest przeciw niechlujstwu, które się już zagnieździło w białych ścianach nowiu-sieńskich dworców.

O czystości naszych miast i miasteczek, o czystości samejże Warszawy trudno dyskutować z autorką listu. Twierdzę stanowczo, że na Zachodzie nie ma plwocin, pestek, ani odpadków jadła na chodnikach. Nie widziałam też sparszywiających podmurowań domów, które u nas tak mile drażnią nosy psów, nie widziałam takich klatek schodowych, w których kurz, brud i pajęczyna mają zapewnione wieczyste trwanie. Nigdzie, w żadnym mieście, czy miasteczku Francji nie widziałam takich orgij pyłu, jak u nas na pryncypalnych, i zaprawdę, już asfaltowanych ulicach. A to nasze, pożał się Boże! polewanie ulic — w istocie dokonywane aż dwa razy dziennie. Robi się z tego masywne blocko na pół godziny, poczem znowu hula sobie kurz i dmie w oczy, i karmi płuca bakteriami.

Proszę mnie nie posadzać o to, że chcę, aby u nas, jak w Belgji, szorowano szczotkami i mydłem chodniki. Nie jestem tak wymagająca i zadowolilibym się mniejszą pedanterją. Zresztą, zgadzam się z autorką listu, gdy mówi o czystości niemieckiej, która jest tylko na pokaz. Wiem, że wyczyszczone, świecące rondle w niemieckich kuchniach pokrywają zapluskowane ściany; wiem, że cała ta sławna niemiecka czystość jest bezmyślna i często nieracjonalnie stosowana. Niestety jednak u nas nie ma czystości nawet na pokaz, nie ma jej ani z potrzeby, ani z przyzwyczajenia.

I dlatego sędzę, że trzeba uczyć nas czystości systematycznie, bezustannie, pouczać rozumnie, nakazywać surowo, kontrolować, karać, gdy zajdzie tego potrzeba. Doświadczenie nas uczy, że w wielu wypadkach nie mogą nic zdziałać nawet najlepsze chęci ofiarnych ochotników-działaczy, że trzeba silnej ręki władz, aby zmusić do wykonywania tego, co jest, zdawałoby się, oczywiste i konieczne. Stąd też powstał w mojej głowie ów projekt „inspektoratu do walki z brudem i niechlujstwem“, który tak bardzo zaniepokoił autorkę listu. Narazie jest to sprawa jeszcze nierealna: nie wiem, czy nad wprowadzeniem jej w życie zastanawiały się sfery kompetentne. Śmiem jednak twierdzić, że tylko tą drogą możnaby osiągnąć pewne rezultaty. Nie wyobrażam sobie, zresztą, owych inspektorek jako katów i gnębieli. Powtarzam: zadanie tych pań byłoby w pierwszym rzędzie pedagogiczne. Odczytami i pokazami tyleż mogłyby zdziałać, co rozkazami i karami. Ale bądźmy szczerzy: autorytet i władza pójdą znakomicie w sukurs tej akcji pedagogicznej.

Niewątpliwie mądrze dowodzi autorka listu, że wodociągi i kanalizacja są warunkiem czystości naszych miast. Zapewne dużo, aż nadto dużo jest w Polsce miast i miasteczek, które drzemią nad swoimi rynsztokami zatęchłym snem. Trzeba je obudzić — rozkazem! Trzeba tym wszystkim śmiesznie politykującym radom miejskim i gminnym, tym wszystkim radom powiatowym, tym wszystkim gębującym politykom zaściankowym nakazać, aby spełniali swój pierwszy obowiązek, jakim jest dbałość o sprawy czystości i higieny. Dobrze, —niema, czy nie było pie-niędzy w ciężkich powojennych latach. Ale dziś, gdyby nasze społeczeństwo samo odczuwało potrzebę czystości, możnaby już to i owo zrobić z własnej i nieprzymuszonej woli. A jednak trzeba było dopiero ministerjalnych nakazów, by w stołecznym mieście Warszawie przystąpiono do remontu domów. I to, przypatrzmy się tylko, jak się ten remont odbywał! Pobieźnie, tandetnie, niechlujnie. Po kilku już miesiącach, efektownie na biało odnawiane domy splókał deszcz i znowu stoją trędowate mury, znowu sypie się gruz na przechodniów.

Nie, łaskawa kontrahentko: samemi pięknie brzmiącymi słówkami nic się nie robi u nas, ani się nie zrobiło gdzieindziej. Wszędzie byli opiekunowie, narzucani zgóry; wszędzie musieli wprzód dobrze napracować się świadomi swoich zadań wychowawcy i rozkazodawcy. Wszędzie dopiero energiczni organizatorzy mogli zmusić opornych i niechętnych do poznania potrzeby czystości. Zrozumienie dla niej przyszło dopiero później, dopiero wtedy, gdy zamiłowanie do czystości stało się — drugą naturą. Tak będzie i u nas, ale trzeba, aby się to stało jaknajprędzej.

Obecny minister Spraw Wewnętrznych jest pierwszym ministrem w Polsce odrodzonej, który zajął się tą, tak bardzo przez zaborców i przez nas samych zaniedbaną, sprawą czystości. Trzeba mu w tej pracy dopomóc, trzeba często i dosadnie przypominać, co i jak należy czynić, by praca ministra Składkowskiego znalazła zrozumienie i była należycie oceniona. Chcemy przecież wszyscy widzieć Polskę piękną, zagospodarowaną i czystą. Nie, doprawdy, nie chcemy porównywać, ale nie chcemy się już wstydić i martwić, że u nas brzydziej, gorzej, a zwłaszcza brudniej, niż na Zachodzie. Niema przecież tu o co walczyć i spierać się, skoro chodzi o to, by u nas było coraz lepiej. I nie są to sprawy beznadziejne. Kilka, kilkanaście lat „dobrej szkoły“, a nauczymy się. Proszę więc, Szanowna Przeciwniczko, ani mnie, ani nikomu, piszącemu o tej sprawie z goryczą, nie brać za złe silnych słów i określeń. Czynimy to przecież tylko pro publico bono.

Dr. Herminja Naglerowa.



M. H. SZPYRKÓWNA

„NASZ WRODZONY WDZIEK”

Po powrocie z wakacyj człowiek czas jakiś jest zazwyczaj łagodny. Trawi, jak wąż-boa, słońce i błogostan, którym się nasycił i nieskory jest do tak słusznie zwanego ulania żółci. Ale co robić! Widocznie każdy błogostan miewa jednak swoje punkty wrażliwe, i nowoczesny Achilles zawczasu każe sobie robić na historyczną piętę but z gumowym obcasem, ażeby uniknąć katastrofy. Dla mnie osobiście Achillesową piętą, zwłaszcza w lecie, jest wszelka gazeta wogóle, i unikam drukowanego, jak mogę. Ale cóż może człowiek wobec przeznaczenia? Przeznaczonem mi było wziąć do ręki tenże sam oto, rodzony „Bluszcz” i — ktoby to myślał — cios mię spotkał właśnie z jego czcigodnych skądinąd łamów. Ach, te kobiety! Ach, ten kobiecie „wdziek”!

Bo i proszę! Nomina sunt odiosa, ale jedna z przemiłych skądinąd (bo ją znam) pań zupełnie serjo żałuje, że gdzieś tam zagranicą brakuje wśród kobiet innych narodowości — polek, które „z wrodzonym nam wdziękiem”, jak pisze, prezentowałyby światu swoje sylwetki. Całą zjadliwość swoją usiłują zamknąć w ten „wrodzony” cudzysłów o wdzięku, bo, oczywiście, nie kwestjonują, że gdzie inne narodowości reprezentują to, czy owo, dobrzeby było znaleźć tam i polki. Nie; idzie mi o ten wdziek, wdziek, wdziek!... O ten wdziek polek, o którym słyszymy we wszystkich polskich powieściach, we wszystkich sakramentalnych tradycjach, we wszystkich upomnieniach się o atuty międzynarodowe, a który — jak wiele, wiele innych prawd historycznych — musimy dziś już przyjąć tylko na wiarę: bo, jako żywo, własnymi żywymi oczami my, współcześni, dopatrzeć się jego nadmiaru nie możemy.

Ale przeszłość narzuca swoje daltonizmy miejscowe, które trwają... przez tradycję. Tradycja, np. niesie, że Warszawa słynęła zawsze, jako mały Paryż — i dobra! I wierzymy w to niezachwianie, nawet przed wspaniałym skwerem z pomnikiem wdzięczności Ameryce, przytulonym opatrnie do pewnego skromnego, o wiadomem przeznaczeniu, domku, zapewne na wypadek, gdyby się poczuł niedobrze. Będziemy o tem pisali po przewodnikach i z niekłamaną ufnością nadmieniali cudzoziemcom o powyższej pochlebnej tradycji, a cudzoziemcy będą się nieinteligentnie dziwili, czemu to w tym małym Paryżu paryskimi — i to z nadwyżką — zostały tylko ceny, a po zatem, że jest to, jak dowcipkują: „un pays barbare, qu'il faudrait laver, pour le bien voir”.

Że Polska zużywa natomiast mydła w nader skromnych, względnie do Europy, ilościach: o tem

nie mówimy, i słusznie: nie ma się czem popisywać. Ale pamiętać o tem byłoby jednak dobrze! Gdybyśmy mogli tylko gołym, że tak powiem, okiem widzieć, jak śmiesznie wygląda nasza pyszałkowatość wobec narodów, względnie do naszych ubogich atucików istotnych, a wielkiej, wielkiej masy istotnych niedoborów! Ale gołe oko w Polsce jest rzadkiem zjawiskiem: zazwyczaj uzbrojone jest w dostojny okular tradycji, zalepiony różową żelatynką samoadoracji. Żerujemy na przeszłości! Dosłownie żerujemy na jej istotnych niegdyś atutach, które były, ale wyszły — a my, jak dzieci, bawiące się misternie złożonemi w dawny ludzający kształt pustemi papierkami po karmelkach, które są dawno zjedzone częstujemy siebie wzajemnie wyczerpaną już dawno z treści tradycją tej lub innej cechy — i zapewniamy siebie, że to prawdziwy cukierek. A cukierka niema! A Warszawa jest nie Paryżem, tylko brzydko położonem, wyzbytem jakichkolwiek malowniczych okolic, niedbale rozbudowanem, narazie, miastem, które zatraciło już swój dawny charakter staromiejski, a nie nabyło nowoczesnego, szerokiego rozmachu jasnych, przestrzennych, rezydencyjnie budowanych miast współczesnego Zachodu. A uprzejmość wersalska polaków jest takim samym mitem i rzewną legendą, jak uprzejmość wersalska... francuzów. A sława, że warszawianki są najpiękniejszymi w świecie kobietami! (Sapristi Christ! Już Lwów raczej — i każdy poszczególnie z tem się zgadza — ale „urzędowa” tradycja brzmi tak, i trzeba w to wierzyć). A nasza tradycyjna „uczciwość”, która dziś musi patrzeć pilnie na każde ręce, czy aby nie sięgają nam wprost, czy okólnie do kieszeni! A wreszcie dziesięć innych cech, i w tem już niech dotrę do owej bolączki, jaką jest — nie ukamienujcie mię, o siostry, pełne wdzięku!... — ów właśnie tradycyjnie ugruntowany na wiarę dawnych pokoleń „nasz wrodzony wdziek”.

Strasznie się boję, ale powiem! Niech zginę za przekonania. Otóż, „kobieta-polka”, jak się mawia dostojnie w takich razach — nie ma żadnego specjalnego wdzięku. Poprostu nie ma, i już. Ma go, jeśli ma, i nie ma, jeśli nie ma, — rzecz skądinąd właściwa i kobiecie-francuzce, i kobiecie-hiszpance, i kobiecie-włoszce i nawet (piękna Józefina Beker!) kobiecie-mulatce. Każda z tych pań wyrabia go indywidualnie, kulturuje, niejako, więcej, lub mniej — i to daje w wyniku ogólną sumę dorobku. Nie rodzi się z zaszczepionym w lewe ramię, jak ospa, zarazkiem wdzięku, tylko jest gruntem dla jego zaszczepienia podatniejszym, albo mniej podatnym, a więc: niski wzrost, krępa bu-

dowa, grube ręce i nogi, ciężki chód (daleka północ) utrudniają kulturę wdzięku; lekkość, zwinność, harmonja linii, elegancja budowy ułatwiają ją: Włochy, Hiszpanja. Kraje umiarkowane dają warunki średnie, i tu wdzięk hoduje się tak, jak pewne gatunki owoców: można je mieć, ale wymagają kultury — pamięci — dbałości. I jak morela, która owocowała, odchowana, może zdzićzeć przy niedbalstwie: tak i wdzięk, nieuprawiany przez czas dłuższy, przy warunkach średniej podatności, by tak rzec, geograficznej i historycznej — może zejść do minimum, albo osiągnąć szczyt.

I otoż — dochodzimy. Polki miały wdzięk! Miały go bezwzględnie, miały go dużo i miały go jeszcze niedawno: czasy Słowackiego i Krasińskiego, dzieje Szopena i legendy Napoleońskie zbyt żywo nam to malują. Ale — zapominamy o jednym: tamte czasy umiały ocenić i podnieść kulturę wdzięku. Polska ówczesna miała grunt wielkomięjski dla wdzięku: salon. Salon istotnej wytworności, którego nie ma Polska dzisiejsza, już skinowana i zdancingowana, a jeszcze nie mieszkająca, jak zagranica, gdzie jest przeciwaga komfortowego home. Dwór prawdziwej pańskości na wsi, daleki od spekulatywnej podfilipiskości dzisiejszego, świeżego ziemiaństwa. Mieszczanstwo — nie sklepikarstwo dzisiejsze, — którego sama nazwa była sygnetem swoistego, tradycyjnego dostojenstwa. I wieś, która — dzięki rolniczej głównie pracy — wychowała zdrowe, hoże dziewczęta, które i czemużby nie miały być wdzięczne, jak słoneczna malwa, lub strzelisty mak?

A oto dzisiaj...

Pomyślmy! Dziś masy dziewcząt idą do fabryk i w służbę miejską, żeby nie wymieniać ulicy. Żółkną, schną, karłowacieją i popadają w brzydotę moralną i fizyczną. Dziś żadna matka już nie pisze w testamencie listów do córki à la Klementyna z Tańskich, i dzisiejsza panienka wprost nie ma pola do wyrobienia w sobie tego towarzyskiego wdzięku — wykwiutu, obycia, umiaru i stonowania, jaki wyrabiał salon towarzyski wczorajszy. Dziś panna jest na sporcie, na korcie, na wodzie, na lodzie, nawet na zawodzie — a pozatem — zarabia. Jest w biurze, jest zgarbiona, jest opryskliwa, zmęczona, często rozgoryczona, przepracowana, kanciata — bojowniczką — propagatorką — nawet apostołką, — ale w tem wszystkim ma o sto procent mniej miejsca na wdzięk, niż w kreacji wczorajszej.

I tu jest clou. Polka — miała wdzięk, bo go kultywowała. A dziś polka ma go mało, ma go coraz mniej — bo stara kultura zanikła, a nowe warunki jeszcze nie stworzyły odpowiedniej odmiany dzisiejszej.

Dzisiejsza polka ma go o tyle, o ile ma go dzisiejsza rumunka, czy szwedka: niezależnie od narodowości, tylko od osobistego ułożenia, obycia towarzyskiego, wykwiutu, a bodaj — poprawności form. I otóż tu powiem, że przeciwnie: stoimy, mojem zdaniem, wtyle. Polki są sztywne. Nieznośnie wymagające nieuzasadnionych rewerencyj, już zasadniczo, — bo są kobietami, a tak je uczono. A tymczasem dziś, z emancypacją, ta kobieta będzie „rewerowana“ przez mężczyznę, która osobiście zdołała to zdobyć nie tradycją, tylko właśnie — indywidualnie. Są pozatem hałaśliwe i rozrzucone na tle Europy; mniej, niż rosjanki, ale wybitnie.

I pod względem wykwiutu osobistego, sposobu jedzenia, manipulowania sztucami, towarzyskiego, ułatwiającego międzynarodowe obcowanie przez gładkość form — *savoir-vivre'u* — nie grają bynajmniej pierwszego tonu na terenie zagranicznym, gdzie kraje i narody dadzą się ze sobą porównać. Dlatego ciągle tokowania sobie nawzajem o wrodzonym wdzięku, urodzie i elegancji polek jest i śmieszawe, i — szkodliwe. Ilekroć więcej zyskałybyśmy na tem, żeby, przeciwnie, każda wyjeżdżająca do badów i plaż „z wrodzonym wdziękiem“ i jadaniem z noża, lub łokciami na stole — rodaczka mogła być zaopatrzona w krótki kwadrans dla zdrowia narodowego, upominający, czego zagranicą czynić nie należy. A wtedy nie straciłybyśmy marki najwdzięczniejszych kobiet w Europie, bo jej nigdy zagranicą nie miałyśmy, tylko w łaskawych oczach współrodaków, lub przygodnych komplemcistów — a zato zyskałybyśmy bodaj poprawne formy, których nam, mimo wszystko, w porównaniu do kobiet zagranicą tej — samej, oczywiście, sfery, — aż nadto często brak. A wdzięk! proszę spojrzeć na uśmiech, na istotnie urocze spojrzenie, jakim mała amerykańczka, lub francuzka podziękuje takiemu, który jej ustąpi miejsca w tramwaju. I proszę się później przyrzec tej godności — sztywnej, niezręcznej i sztucznej, — z jaką zajmie ustąpione jej miejsce, bez znaku podziękowania nawet, warszawianka. Bo „kobiecie to się należy“ — i nasi mężczyźni tem jeszcze częściowo żyją.

Ale częściowo — i to en gros! — już tem żyć przestają, i tradycją długo nie nawojujemy; trzeba kuć własne miecze, nie sięgać wciąż po Szczerbiec Chrobrego. Siostry-polki o „wrodzonym“ wdzięku! Czy nie czas zrobić jego rewję faktyczną, aby się przekonać, czy nie stał się przypadkiem już tylko raczej... dźwiękiem? I czy nie dobrzeby było zacząć znów wprowadzać powoli rzecz najbardziej zaniedbaną w dzisiejszej pogoni za wyzwoleniem zarobkowem i zawodowem: kulturę istotnego wykwiutu i wdzięku?



WIKTORJA RYMWID-MICKIEWICZOWA

ROMANS

Piękna pani w wytwornej sukni i pan, jak z żurnalu
 (Ona pachnie „Mystère'em“, on „Chypre'em“ Cotie'ego)
 Poznają się na yachcie, wyścigach, czy balu
 I nie myślą, że oto staje się coś złego.

Noc nad morzem jest pełna przytłumionych głosów —
 Jest, jak muszla, gdzie księżyc, jak perła, spoczywa —
 On — nie widział rąk takich, ani takich włosów,
 Ona — jest trochę drwiąca i bardzo szczęśliwa.

Po powrocie do domu — na fraka rękawie
 Jest jeszcze małe miejsce, pachnące „Mystère'em“ —
 Wszystko jest, prócz tych perfum, nieuchwytnym prawie
 Dalekim, niepotrzebnym i nieznośnym szmerem.

W czeczotkawej sypialni nim zmruży powieki
 Piękna pani pomyśli, że — jednak... — mój panie... —
 Masz bardzo piękne oczy, wzrok dziwnie daleki,
 Że zobaczę Cię jutro i, że coś się stanie...

Wszystkie jutra są potem utkane z marzenia —
 Wszystkie ranki czekają najdroższych wieczorów —
 Przez wszystkie nudne rauty szukają spojrzenia
 Oczu — co mają najpiękniejszy ze wszystkich kolorów.

I każda rzecz w pokoju, co „nasz“ się nazywa,
 Jest jakby w mgle tęczowej bliska, a nieznana —
 Wita ją tu codziennie: — Czy jesteś szczęśliwa? —
 I żegna ją co wieczór: — Dobranoc, kochana!

Pewnego dnia się spóźnił — kiedyś nie odpisze —
 Na bal dziś przyjść nie może — rano ma zajęty —
 Wszystko się stanie szare i rozplynie w ciszę,
 W głuchą mękę wpisane, jak w koło zakłęte...

Z pięknej pani się stanie zwyczajna kobieta —
 Nie może gości przyjąć — nocą płacze skrycie —
 To jest dużo smutniejsze, niż powieść Bourget'a,
 Taki romans — co z książki przenosi się w życie...



ADAM CZARTKOWSKI

KSIĘŻNA ŁOWICKA

3

III.

Z A Ś L U B I N Y

W kwietniu 1820 r. w petersburskiej „Gazecie Senackiej“ zjawił się ukaz cesarski, datowany 30 marca, o rozwodzie cesarzewicza z w. ks. Anną, w którego zakończeniu znalazło się nowe prawidło dla rodziny cesarskiej: „Jeżeli która osoba Cesarskiej Familji wejdzie w związek małżeński z osobą, nie mającą odpowiedniej dostojności, t. j., nie należącą do żadnego domu monarchicznego, lub udzielnego, to pochodzące z tego związku dzieci nie mają prawa do tronu“. Manifest ten otworzył naraz oczy wszystkim. Zrozumiano wreszcie rozmaite półsłówka i półgęsty, podsłuchane i podpatrzone dawniej, a których jakoś zrazu nie rozumiano, — i stugębna fama odrazu gruchnęła, że w. ks. Konstanty, cesarzewicz, naczelny wódz wojska polskiego, żeni się z panną Joanną Grudzińską.

Poprostu nie chciano wierzyć, że ten człowiek, tak powszechnie okazujący swoją awersję do polskości, żeni się właśnie z Polką i że wogóle ma jakieś czyste i poważne względem niej zamiary.

Tymczasem omylono się zupełnie. Konstanty z jak największą skrupulatnością dopełnił wszystkich formalności, wymaganych w tym razie przez prawo; wydał zamąż za b. swego adjutanta Weissa dotychczasową kochankę, uzyskał pozwolenie ojca panny i dnia 24 maja 1820 r. w. ks. Konstanty Pawłowicz pojął pannę Joannę Nepomucenę Barbarę hr. Grudzińską za najlegalniejszą pod słońcem małżonkę.

O przebiegu tych zaślubin, które tak głośne echo wywołały w całej Europie, w tych słowach donosiła swej siostrze p. kasztelanowa Anna z Krajewskich Nakwaska z Małej Wsi, dnia 29 maja 1820 r. w liście, który poraz pierwszy wogóle zostaje tu ogłoszony*).

„Nie wiem jeszcze, kiedy otrzymasz mój list dzisiejszy, śpieszę jednak zasiąść do niego, zanim z mej pamięci ulotnią się szczegóły o ślubie, który wywołuje tyle rozmów, przypuszczeń, domysłów i rozstrząsań zarówno w Warszawie, jak w całej Polsce, a bardzo być może, że nawet w całym Cesarstwie. Powróciłam dziś ze stolicy naszego województwa i właśnie podczas tej podróży spotkałam generała Krasieńskiego (Wincentego), który, jako wracający z Warszawy, opowiedział mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. A więc stało się to historyczne zdarzenie we środę dn. 24 maja. Przedewszystkiem wszyscy świadkowie, a było ich trzynastu, otrzymali rozkaz udania się w tajemnicy do Zamku do Apraksina, który tam mieszka. Z polaków byli to: Trem-



Ks. Łowicka według litografji Sonntaga

bicki (Stanisław, pułk. w. p., adjutant W. Księcia), Gutakowski (Wacław, mąż młodszej siostry Joanny), ks. Gutkowski, Hankiewicz, sekretarz Ministerstwa Sprawiedliwości, Broniec, Czekiński, (doktor domowy Grudzińskich) i p. Piotrowski, notariusz. Z rosjan znaleźli się tam — Nowosilcow, Dżakow, Kuruta, Kołzakow, Apraksin. Jeszcze dwóch innych, których nazwisk nie mogę sobie przypomnieć. W każdym razie nie byli to ani Morenheim, ani Weiss. Tego jestem zupełnie pewna.

Wszyscy ci panowie przebrali się tajemnie w Zamku i o godzinie pierwszej po południu udali się do rodziców panny młodej. On (Konstanty) był ubrany z jak największą skromnością, ona (Joanna) zaś

*) Oryginał, znajdujący się w zbiorze listów Anny Nakwaskiej w Bibl. Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu, jest pisany po francusku. Przekład został dokonany przez autora życiorysu, od niego też pochodzą objaśnienia, zawarte w nawiasach.

miała na sobie suknię z crêpe montante, przybraną u dołu sześciu falbankami z tegoż materiału.

Kiedy pan młody przybył, zapanowała głęboka cisza, a on wówczas w te odezwał się słowa: „Byłem złączony ślubami małżeńskimi z kobietą, do której daremnie zbliżyć się usiłowałem w ciągu ostatnich lat czternastu. Nie mogąc pozyskać jej względów, a będąc jeszcze młodym, nawiązałem stosunek miłosny z panią Aleksandrow (takie nazwisko nosiła Friedrichsowa od lat kilku, przed ślubem z Weissem). Owocem tego stosunku jest syn (Paweł Aleksandrow), którego kocham i którego los będzie mnie zawsze obchodził. Pani A. w ciągu ostatnich czterech lat stała się zbyt wymagającą i męczyła mnie żądaniami wstąpienia z nią w związek małżeński. Będąc jednak przywiązany do tej, którą zaślubiam obecnie, wydałem zamąż p. A., wyposażyłem ją i postanowiłem: jej szczęście dalsze zależy już wyłącznie od niej samej. Ja natomiast, za zezwoleniem Cesarza, zaślubiam hrabiankę polską, z którą spodziewam się być bardziej szczęśliwym, niż ze wszystkimi księżniczkami niemieckimi, razem wziętymi. Nie chcę, zresztą, rywalizować z ks. Mikołajem, moim młodszym bratem“.

Skończywszy to przemówienie, pan młody ujął za rękę oblubienicę i wszyscy udali się do kaplicy greckiej (prawosławnej), gdzie odbyły się zaślubiny według wszystkich formalności tego obrządku. Podczas tej ceremonii Djakow i Kuruta trzymali nad głowami państwa młodych korony. (Jest to zwykły obrządek przy ślubach prawosławnych.)

Przed tym ślubem kościelnym odbył się ślub cywilny w obecności p. Hankiewicza, jako urzędnika stanu. Akt ślubu cywilnego miało podpisać czterech świadków—dwóch Polaków i tyłuż Rosjan. Kiedy Broniec chciał złożyć swój podpis, jako przedstawiciel ojca panny młodej, nie pozwolono mu na to, i dopiero za stanowczym rozkazem pana młodego złożył swój podpis u dołu kontraktu i to tylko w charakterze obecnego przy zawieraniu jego. Trzeba zaznaczyć, że pan młody zażądał, aby żadna, najmniejsza nawet, formalność aktu cywilnego nie została opuszczona i by nic temu aktowi nie można było zarzucić. Drugim ciekawym faktem był ten, że p. Hankiewicz nie chciał udać się do Zamku dla dopełnienia aktu ślubu cywilnego i żądał piśmiennego na to rozkazu J. Kr. Mości. Wobec tego Namiestnik musiał wysłać do niego Kosseckiego z formalnym poleceniem dokonania tej czynności.

Tak tedy państwo młodzi zostali już dwukrotnie z sobą złączeni: raz à la française, drugi raz à la russe. Należało dokonać tego jeszcze à la polonaise. Wyszędłszy więc z kaplicy greckiej, udano się do katolickiej,

również w zamku znajdującej się, a która jest dawną kaplicą naszych królów. Tu ks. Gutkowski, kapelan generalny całej armii polskiej, a proboszcz parafii Małej Wsi, pobłogosławił ich związek według obrządku katolickiego. Przysięga została wygłoszona w języku francuskim, a panna młoda była bardzo wzruszona i rozczulona podczas całej ceremonii. Jej matka i dwie siostry, ubrane z najwyższą skromnością, były jedynymi kobietami, biorącymi udział w tem zdarzeniu. Ubrania panów nie były galowe, lecz codzienne, a pan młody miał na sobie mundur adjutanta cesarskiego.

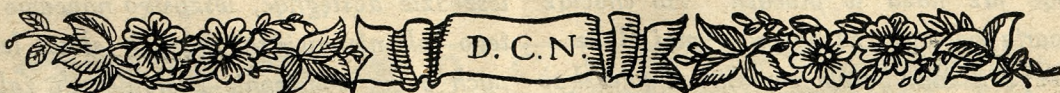
Gdy skończyły się obrzędy ślubne, udano się do sali, gdzie podano bardzo krótkie śniadanie. Pan młody uściskał swą małżonkę i rzekł do niej: „Lada chwila oczekuję kurjera, który ma pani przywieźć jej nazwisko, dotację, stanowisko i etykietę“. Rzekłszy to, wyszedł. Świadkowie rozeszli się także. Pan młody po pewnym czasie zjawił się znowu, tym razem, by spożyć rodzinny obiad u tescia. Po obiedzie matka i córka udały się w powozie do pałacu pana młodego, poczem po chwili p. Brońcowa wróciła do siebie. Państwo młodzi pozostali sami w ciągu dwóch godzin; wieczór zaś spędzili znowu u rodziny w Zamku. Ojciec panny młodej nie przyjechał na ślub... Mówiący do małżonki, tytułują ją Madame... Niektórzy zapytywali Kurutę, jak mają się odzywać: „Przecie w rozmowie wypadnie nieraz użyć słowa vous, a boimy się, że to źle będzie przyjęte“. Na to generał odpowiedział, aby unikali, o ile to możliwe, owego vous i jak najczęściej używali Madame... Co się tyczy prezentów, to corbeiller de mariage został obstalowany w Paryżu, nic zaś jeszcze nie wiadomo ani o brylantach, ani o innych kosztownościach...

Jesteś zapewne ciekawa, co się podczas tego wszystkiego działo z dymisjonowaną sułtanką (Aleksandrowową-Weissową), a więc i o tem ci opowiem.

Otóż miała, jak powiadają, dla zmanifestowania swego stanowiska, wyjechać do Słubic. W dniu 20 maja przysłała tam sztafetę z wiadomością, że na skutek ślubu (Księcia) przybyć nie może. Nie czekając jej tedy, wtem w nocy z 22-ego na 23-ci przyjeżdża nieoczekiwanie, mówiąc, że ślub odłożony i że zdąży jeszcze powrócić nań do Warszawy. Jakoż wyjechała 24-ego rano; przybyła do Warszawy jednak już wieczorem, gdy wszystko było już skończone...

Wydaje mi się, moja Droga, że cała ta historia bardzo jest podobna do dziejów Estery. Obawiam się, że Kulawy (?) będzie Hamanem, napróżno jednak szukam Mardocheusza! Reszta postaci jest już na scenie...“

Tak spełnił się sen o królewiczu z bajki.



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

3

KOSZULA DEJANIRY

(nowela)

Któregoś dnia przyniesiono Zofji niedużą paczkę, zaadresowaną na nazwisko męża. Przysłał ją adwokat z zawiadomieniem, że nie może wypłacić legatu Helenie Zbyszewskiej, ponieważ legatarjuszka przed kilku tygodniami zmarła w Zakopanem. Załączona paczka pochodzi właśnie od Heleny Zbyszewskiej, przeto adwokat przesyła ją pani Uruskiej, jako jedynej i wyłącznej spadkobierczyni zmarłego.

Zofja opuściła na chwilę polskie quatro cento, oderwała się od gotyckich ziarenek jakiegoś fascimile, po którym podróżowało okrągłe oko powiększającej soczewki. Jeszcze niezupełnie świadoma swoich odruchów, rozerwała zawinięcie paczki. Odpadła szara skorupa papieru i zabłysła zwierciadełkiem lśniącym, czarna okładka zeszytu. Rozprószył się nikły zapach perfum — prawie znanych i jakby coś przypominających. Palce wzdrygnęły się, skoro odczuły zaczepną lepkość chłodnej ceraty. Krzykliwy szafir brzegów zeszytu objawił się narzucająco. Pobieżnie zawirowały kartki, wymknawszy się młynkiem z pod palca. I wtedy ujrzała Zofja rzadki wysmukłego pisma. Niby ostre szpady, niby jakieś cudaczne narzędzia, nagromadzone bez liku dla dokonania niewiadomych robót. Zębate, nastrąszone linje biegły nieomylnymi śladami.

Leniwo przesunęła się myśl: Czy mam to przeczytać? — i zatrzymała się na pierwszej stronie rękopisu. Samo już wtedy podeszło pod oczy: „Spowiadam się sobie“.

W szybkim migocie pamięci sfrunęły przypomnienia. Ach, tak — Helena Zbyszewska, legat... Imię, zabłąkane na ustach konającego. Niepodjęte majaczenia o szczęściu i czyjemś nieszczęściu. Jakieś wiązanie nieznanymi sprawami nigdy przez żywych niezrozumianą męką umierania...

Przepadłe już, zda się, słowa Romana tkwiły jednak w Zofji, jak zapomniany list w szkatułce. I tak niewiele potrzeba było, aby się znalazły na wierzchu i stały zawiązkiem długiego ciągu rozmyślań. Wyścieleli się jakieś tajemne, ślepe dróżki, które urywały się na progu nieznanymi przeżyć Romana.

Bolesne obcegi ciekawości szarpnęły Zofję. Powiedziała: przeczytam! — A niemal wrogie oczy rozpoczęły skwapliwy marsz po kartkach zeszytu.

„...Dobrze jest zmartwychwstawać. Dobrze oddychać, nie czując już noża w płucach. Bo chociaż myślałam z upartą odwagą, że śmierć — mój Boże — nie jest przecież straszna, bałam się. Strach mieszkiał

we mnie i wokół mnie. Dusił za gardło mocną łapą. Włókł się poczwarnie po ścianach pokoju. Czaił się pod łóżkiem. Pyskiem chimery zesuwał się z pułapu.

Teraz wolno mi już leżeć na werandzie pod natłokiem futer i pledów. Nic mnie nie obchodzą sine i różowe szczyty gór. Myśl moja idzie wprawdzie wyznaczoną po wieki, szarpaną linją ich grzbietu i czasem zniką wraz z niemi w płynnej nawałnicy chmur, ale jest to tylko mimikra kształtu, jaki stara się przybrać bezustanna praca mózgu. Trzeba ten kłębiący się chaos do czegoś upodobnić, na czemś trwałem umocnić. A musi się też czasem znaleźć układną pociechę w zabawie promieni słońca, rozświetlających się na białym śniegu. Nie można przecież znaczyć wartości swego istnienia tylko na kapryśnej laseczce rtęci, wydłużającej się z niesamowitą ochotą po stopniach termometru, jak po drabince.

Chowam moje chude ręce pod pledy, aby ogrzały się, jak zziębłe zwierzątko. A wtedy stwierdzam z głęboką niechęcią do siebie, że trójkąty kości biodrowej sterczą, jak wywrócone pługi, i tylko glansowana, cieniutka skóra przesłania je, niby pokrowiec.

Myślę z odrazą, że można siebie dzień po dniu, godzina po godzinie — wypłuć. Prostu własnymi wargami wyrzucać siebie do tej małej nikłowej szkatułki, cuchnącej lysolem. Jakże okrutna jest ohyda takiego umierania!

Kiedy brutalne ręce i twarde, jak dębowe belki, ramiona przenoszą mnie zpowrotem na łóżko, najpodlejsze słowa podbiegają do gardła, by sponiewierać krzykiem nienawistne, chamskie zdrowie tragarzy. Lecz ostatecznie biedniutki szkielet układa się z grzecznym stęknieniem na pościeli zimnej, jak goła ziemia. A potem usta, parząc się z bezwstydną żarłocznością gęstym płynem czekolady, belkocą swoją codzienną mowę o zdrowiu.

Jak wielką, zieloną łaką jest pragnienie życia. Albo, jak niebieski, przeogromny obszar nieba. Na wielbłądzim grzbiecie gór jeździ po widnokręgu. Chce wszędzie dosięgnąć, wszystko napewno wiedzieć. I dlatego tak nienawidzę skąpych słów lekarza, jego tępych oczu, podstępnie zasłoniętych żaluzją tajemnicy.

Dopóki było źle — powiedzmy — najgorzej, całe minione życie przepadło w bezwspomnieniu. Istniała tylko chwila bieżąca, napęczniała cierpieniem, rozbita na białą pianę gorączki. Ale teraz przychodzą do mnie małe, dokuczliwe stworki. Szczebiocą blademi pyszczkami. Wszędzie pełno ich pisku i wrzawy. Jeden mówi przez drugiego. Wyrrywają sobie niedokończzone zdania i drą je na strzępki. A ja męcę się, chcąc uporządkować ten skłócony gwar, bo nie wiem, co jest najważniejsze, co należy mieć blisko siebie, jakby w stałym pogotowiu.

Czy dzieciństwo, podeślane brudną podłogą szewskiego warsztatu, wystukane młotkiem na niezgrabnym kulfonie kopyta, przystrojone w skrawki rozsmiergłej skóry?

Czy czerwony, jak rdzawa zaraza, mur szkoły, tak beznadziejnie smutny we wczesne, niedospane ranki?

Czy Remington, kłapiący groszkami zębów i szczekający zawzięcie w zasepionych biurach, nadzianych od podłogi do sufitu falami szefowskiej zgryźliwości?

A może ten nowy, popielaty kostjum w pierwszy dzień jednego cudnego święta Wielkiej Nocy, kostjum, pasujący mnie na „śliczną dziewczynę”, żarłocznie smakowaną oczyma ulicznych Donżuanów?

Albo inny, naprawdę Wielki Dzień, kiedy dyrektor Roman Uruski rozmawiał z wykwalifikowaną już stenotypistką, darząc ją odległym uśmiechem najpiękniejszych ust i łaską niebieskich oczu, odchodzących w obojętnej wędrówce ku oknu, ku dębowym, czarnym sprzętom biura?

Wiem zresztą dobrze, co się tu blisko mnie tłucze niespokojnie, wołając: To ja! to przecież tylko ja!

Nie, nie chcę tego widzieć w białej, polerowanej jaskrawości sanatorjum! Chowam się pod kłodre, jak to zwykły czynić dzieci w okropnym lęku przed Strasz-nem, Nienazwanem, Groźnem. I myślę, że tego, co mogłoby się niemal objawić cieleśnie, co miałoby ochotę rozboleć się, rozwlec żalem, krzywdą, płaczem po nocy, a szaleństwem za dnia, tego nie dopuszczę teraz zbyt blisko. Jeszcze nie.

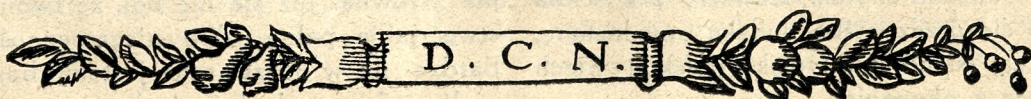
Dzienniki są, jak talerz „rozmaitości”. Leży tak to czerwone, na plasterki pokrajane mięso, wstrętne napozór, a jednak zachwalające obnażoną mozaikę swego wnętrza, podniecające zapachem podejrzanych przypraw.

W dzienniku każdy może sięgnąć po „plasterkę” według swojego smaku. Mój sąsiad z werandy, ten z prawej strony, liczący siedemnaście lat i wysterczający tak śmiesznie długim, żółtym nosem ponad poziom leżaka — lubi artykuły i sprawozdania sportowe. Legja — Warta, Warta — Polonia. Nie patrząc, wiem, kiedy czyta. Leżak trzeszczy wtedy, jak łamiący się wóz. Biedne ciało chłopca mimowoli powtarza sobie jakieś harce piłkarskie. Natomiast sąsiad z lewej strony, kaszlący z przekorną satysfakcją, trzydziestokilkuletni, zawsze źle ogolony, zawsze z kimkolwiek i o cokolwiek bądź się sprzeczący — interesuje się polityką. Kształci mnie więc, czy chcę, czy nie chcę. Wiem teraz tak dużo o Lidze Narodów i o Mussolinim. Znam na wylot sprawy Dalekiego i Bliskiego Wschodu. Przejrzałam plany Sowietów i Anglii.

Ale od wielu dni polityk nie opuszcza już swego pokoju i sędzę, że w sprawach międzynarodowych musiały w tym czasie zajść jakieś ważne zmiany, o których się chyba nigdy nie dowiem. Może nawet wybuchły owe zapowiadane wojny i rewolucje? I tak nie istnieje już teraz dla mnie ta, czy owa ważna kwestja. To znaczy, że jej wogóle niema na świecie i prawdopodobnie uroiła się tylko temu panu, któremu było za nudno, a pewnie i za ciasno na leżaku.

Ja, swoim dawnym zwyczajem, wybieram sobie „plasterkę” wśród „wiadomości bieżących”, drukowanych maczką, wciśniętych w kąt i pokrzywdzonych. Jakgdyby to, co jest bieżące było najmniej ważne! Odczuwam litość dla tych drobnych literek i dlatego nawet tu pozwalam się im zanudzać plotkarstwem dnia codziennego. Stąd też wiem, jaka była wczoraj pogoda w Warszawie, jakie bale będą w bieżącym tygodniu, jakie koncerty, co grają w teatrach i kinach, co niesie fala radja. Nie uszkodzi to w niczem mojej inteligencji i nic z tego nie trzeba zbyt długo pamiętać.

Tak, ale poco piszę o tem, obchodząc zdaleka to, co jest dziś dla mnie straszniejsze od śmierci i bardziej od niej dziwne, bardziej niespodziane? Bo i jakże napisać te najgorsze słowa? Jak im się potem przyjrzeć zbliska, jak je zrozumieć raz jeszcze? Jak sobie teraz i potem poradzić z temi ostremi pazurkami, ścisłającymi serce?



W. MIŁASZEWSKA

13

KACZĘTA

(powieść)

Staś się na politechnikę już zapisał i chodzi w czapce studenckiej. Też wymyślili nakrycie głowy! Idzie taki student z głową zadartą, a za nim jakaś brązowa mycka o pół mili się wlecze. Jeszcze to kaźden naumyślnie wyciąga jak najdalej, żeby powietrza naszło, jak w balon.

Staś ze swojej czapki i ze studentostwa dumny strasznie, ale udaje, że nic. Jak przyszedł w tej czapce do domu, chwaliłam bardzo, choć z przymusem, że ładna, że mu w niej do twarzy (w czemby, zresztą, Stasiowi nie było do twarzy?) a on głową potrząsa i mówi:

— To nie to, co legjonował

Jeszcze mu to wojsko w głowie. A ja wiem, jestem pewna, że mu ani na chwilę nie wywietrzało, i że ta cisza jest tylko pozorna. Niech się Teofil cieszy, niech, że Staś się ustatkował... Już ja wiem, co o tem myśleć. Albo to nie widzę tych ciągłych konszachców z kolegami? Naschodzi się tego — i do późnej nocy radzą, a wszystko nad oswobodzeniem Polski. Daj Boże... Ale nie daj także Boże nieszczęścia! Już się tu jakiś niemiec przewidywał, a jakże, o Stasia. Tylko, że na mnie akurat natrafił, a ja mu najgrzeczniej odpowiadam, że Staś w politechnikę, a jak ma wolny czas, to w bilard grywa z kolegami.

— Ja, ja, so... szon gut! — powiedział mi ten szwab na pożegnanie i coś jeszcze zaszwarzotał, z czego tylko zrozumiałam, żeby się Staś w „kajne politiken“ nie wdawał, bo może być „ganc szlecht“...

Myślałam, czy mu powiedzieć o tej wizycie? A nuż się Staś rozzłości, że się w nieswoje sprawy mieszam...

A jeżeli ten niemiec przysłany tu został z rozkazu jakichś wyższych władz? A jeżeli oni o Stasiu co wiedzą... To może lepiej go i ostrzec?

Ech, powiem mu dziś, niech się nawet i rozzłości... W tę Polskę, to i ja już teraz zupełnie mocno wierzę, a Staś mówi, że już bardzo, bardzo niedługie panowanie niemieckie na polskiej ziemi. Twarz ma przytem taką rozpromienioną, że mu jej nawet Teofila drwiąca mina nie zasępi...

Francuzi wygrywają, anglicy wygrywają... W gazetach już zupełnie jawnie na niemców takie rzeczy piszą u nas, za któreby dawniej redaktorowie kożę odsiadawali...

W niedzielę, czy jak święto jakie wypadnie, tłum się zbiera i ulicami chodzi. Zawsze, z kościoła wychodząc, nim się przez ciżbę ludzką przedostanę, słyszę, jak krzyczą: Niech żyje wojsko polskie! niech żyje Polska! precz z okupacją!

Niemcy w oknach siedzą, patrzą na gawiedź, a niektórzy śmieją się i różne rzeczy dogadują, ale po swojemu, więc nie rozumiem.

Ej, pewnie im tego śmiechu niedługo! Kto wie, czy oni tacy silni i niezwyciężeni, jak to Teofil zwykł powtarzać. Teraz i Teofil cicho siedzi, a Staś triumfuje. Daj Boże, żeby się te przepowiednie Stasia sprawdziły... Daj Boże, żebyśmy odzyskali niepodległość. Już to Antolka ani spodziewała się pewnie, że jej dzieci i ja takich czasów doczekamy, kiedy o Polsce od morza do morza znów mówić będą na wiecach, publicznie...

Jeszcze to wszystko może być — Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy...

Muszę do mojego ciasta zajrzeć; już Walerka wstawiła do pieca, a ona zajęta obiadem, gotowa nie dopilnować i baby mi się przypała.

3 października

Jeszcze domu do porządku doprowadzić nie mogę po tych gościach. Naschodziło się, bo naschodziło. Ani wiedziałam, że Adelfia tylu znajomych ma... A jakie to wszystko postrojone, a jak po francusku parluje! Przyszłam i ja do salonu, tylko się w popielatą suknię przebrałam, bo Adelfia od rana molestowała mnie, żebym godnie wystąpiła.

— Moja ciociu złota! — mówiła mi Adelfia, a takim słodkim głosem i z taką miną, że z podziwu wyjść nie mogłam. — Już niech ciocia odżałuje fatygi i tę swoją jedwabną suknię z kufra wyjmie! Ja cioci sama koronki do niej przyszyję, te kremowe, po mamie. Niech ciocia pamięta, jak się goście zejdą, żeby ciocia w salonie wszystkich witała i każdemu powiedziała co miłego! Już ja ciocię jeszcze więcej kochać będę, tylko niech ciocia się postara, żeby zrobić dobre wrażenie na gościach, moja ciociu!

Chciałam jej odpalić, że mi o tych gości tyle, co o zeszlóroczny śnieg chodzi, co o mnie pomyśla, ale ugryzłam się w język. Adelfia to umie się przymilić! Dlatego jej Teofil nigdy niczego nie odmówi, a chłopcy przed nią mores znają. Ugryzłam się w język i powiedziałam tylko:

— Cóż ty sobie myślisz, moja Adelfiu, że ja dwóch słów skleić nie potrafię? Nie w jednym ja towarzystwie bywałam, a w młodości potrafiłam ze starszymi taką rozmowę prowadzić, że mówili ze mną, jak z równą. Już się nie bój, że twoim gościom głupstwo jakie palnę, albo niegrzeczność powiem. Niebardzo im w duszy rada jestem, bo subiekcja przez nich w domu, ale już niech tam.

— Ja wiem — powiada Adelcia, — że ciocia dużo zachodu miała z tem przyjęciem; ale niech ciocia pomyśli, jak to przyjemnie, że w naszym domu odbędzie się liczne zebranie. Wkrótce w całej Warszawie mówić będą, jakie się u nas w niedzielę towarzystwo zbiera!

To mi dopiero uciecha! Niech ręka Boska broń, żeby o nas mówić zaczęto! Już lepiej, żeby nic nie mówiono, bo jak raz ludzie na języki kogo wezmą, to suchej nitki na nim nie zostawia.

Adelcia w bardzo dobrym była humorze cały ranek i słodsza od miodu. Coprawda, wyłożyła mi rad i wskazówek z pół kopy, ale udawałam, że uważnie słucham, choć w duszy się tylko nadziwić nie mogłam, gdzie ona takiej ogłady towarzyskiej nabrała.

Bywali u nas, prawda, goście i przedtem, ale to sami tacy swojscy: Teofila znajomi bliscy, albo moich przyjaciół trochę. Ot, pani Klimaszewska przez kilka lat co niedziela, po mszy, zachodziła na pogawędkę. Czasem i na obiad dała się uprosić. Dopiero, jak majątkowe sprawy na wieś ją odwołały, przestała nas tak często odwiedzać. Ot, i teraz, nie widziałam jej chyba z pół roku, ale ona zwykle do późnej jesieni na wsi siedzi w tym mająteczku, co jej Klimaszewski pod Kielcami zostawił.

Pani Klimaszewska z ziemiańskiej pochodzi rodziny i zawsze się z tem obnosi.

— Szczurkiewiczówna z domu jestem, z tych Szczurkiewiczów, co dotychczas na roli siedzą w Suwalszczyźnie — rekomenduje się zawsze, jak ją kto o panięskie nazwisko zapyta. Ludzie bo się połapać nie mogą nigdy, jak tam z jej parantelą. Nie dziw — trzech mężów nazwisko nosiła, ale wszyscy, zwłaszcza Urbanik, tyle, że pieniądze mieli, bo ród nie bardzo znamienity.

— Urbanik herbu nie miał — mawiała o swoim drugim mężu Klimaszewska — ale miał kamienicę. Nauczyło mnie życie, że lepsza kamienica bez herbu, niż goły herb bez kamienicy.

Potem się za Klimaszewskiego wydała; ma teraz i kamienicę, i mająteczek niezgorszy w Kieleckiem, i trochę grosza w gotowiznie.

Adelcia Klimaszewskiej nie lubi i mówi, że ordynarna baba. Pewnie, że trochę ona szorstka i czasem tak coś powie, że człowiekowi w pięty pójdzie, ale dobra to kobieta i rozum duży ma, doświadczenie życiowe. Dużo się już z tego sprawdziło, co ona przepowiadała. Pierwsze — to z Antosią, że starości nie doczeka i dzieci nie wychowa. Potem nieraz co do Adelci dawała mi rady, bardzo słuszne, dobrze to teraz widzę.

— Trzymajcie krótko Adelcię — mówiła — bo inaczey ona was wszystkich za łeb weźmie.

I wzięła. Teofila zawojowała zupełnie, a teraz i ja sama spostrzegam, że w domu wszystko się tak dzieje, jak chce Adelcia,

Naprzykład z tymi gośćmi! Kogo tu nie było onegdaj! Oba salony pełne, a w gabinecie (jak pomyślę, że Teofil ma teraz gabinet i dwie szafy z książkami, śmiech mię zbiera!) czarno było od dymu, bo przez trzy godziny panowie tam cygara Teofila wypalali. Panie starsze porozsiadały się na otomanie i fotelach, z których pozdejmowałam pokrowce. Młodzież myszkowała po kątach — a jedli! Zupełnie jakby stado wilków, połknęli obie tace z ciastkami.

Póki częstowałyśmy z Adelcią, każdy dziękował uprzejmie i na talerzyk coś tam z boczką położył, a potem wszystko znikło, jak kamfora, że nawet i tej „polskiej ceremonji“ nie zostało.

Adelci strasznie młodzi ludzie nadskakiwali, ale to wszystko, pożał się Boże! gołowasy: ani jeden na mężaby się nie zdał. Z tej mąki chleba nie będzie — Adelcia przecież zapowiedziała, że chce zamąż iść i to bogato, ale gdzietam się pośród nich taki znajdzie, coby i pieniądze miał i usposobienie stateczne!

Wszystkim w głowie fiu-fiu... Już nie mnie oczy zamydlać. I te francuskie parlowanie wcale mi się nie podoba. Cóż to, po polsku brak im słów, żeby się obcego języka zapożyczać musieli?

Wiem, że w różnych tam wielkich domach taka moda. Ale tu u nas nikt pretensji do takich wysokich progów nie ma, i chybaby Adelcia oszalała ze wszystkim, żeby jej do głowy przyszło piąć się tam, gdzie jej nie proszą.

Z całego tego balu Marek dostał anginy. W gardle ma plamy i leży w gorączce. Napewno od tego dymu. Najzdrowszy człowiekby nie wytrzymał w takim zaduchu, a jeszcze Marek ze swoim delikatnem zdrowiem!

18 października

Znów dawno nie pisałam. Z Markiem miałam biedę. Wszyscyśmy się nastraszyli, bo zaraz na drugi dzień po tem zebraniu, w nocy, gorączka podskoczyła aż do czterdziestu stopni. Przyszedł doktor, zbadał gardło, powiada:

— Dyfteryt.

Jezus! Jakby mi nogi kto szpicrutą podciął. Braciszek mój i Antolki, Janek, na dyfteryt umarł; to samo znajomych naszych dwoje dzieci. Całą noc oka nie zmużyłam, siedziałam przy Marku i modliłam się, modliłam...

Nie mogłam ani rusz opędzić się strasznej myśli, że to już Antolka po Marka przyszła, że go zabierze... Całą noc tak przesiedziałam we łzach, aż mi oczy popuchły. Co godzina Markowi jakies płókanie dawałam i proszki, które doktor przepisał. Z tem płókanem była bieda, bo Marek widać przytomność od gorączki stracił: ciągle coś bredził o kwiatach, albo obracał ku mnie takie oczy dziwne, niepatrzące.

Jeżeli mam więcej siwych włosów na głowie, to mi przez tę noc chyba osiwały. Nad ranem zdrzemnąłam się trochę w fotelu. Budzę się — szaro, a Marek nie śpi i na mnie patrzy, ale jakby przytomniej.

— Co, Mareczku — pytam — co? Może pić?..

— Pić — wyszeptał, a we mnie otucha zaraz wstąpiła.

Były jeszcze bardzo ciężkie dni, ale szło ku poprawie. Doktor nadzieić się nie mógł. Przyszedł na-
zajutrz, od progę już pyta:

— No — jak tam?

— Nie wiem, panie doktorze, zdaje mi się, że lepiej... — odpowiedziałam nieśmiało, bo jeszcze nie byłam pewna, czy się nie mylę.

Dopiero, jak doktor wyszedł od Marka z wesołą twarzą, odetchnęłam.

— Zuch chopak! Zdaje się, że cało się wymiga z tej historii.

(d. c. n.)

Ś. P. MARJA LISOWSKA

ZM. 24 WRZEŚNIA 1927 R.

Pod sercem niosła ją matka, idąc piechotą za mężem swym na Sybir, aby tam stworzyć dom rodzinny, nietylko dla siebie i swoich najbliższych, ale i dla licznej rzeszy wygnańców. Z promiennego hartu duszy matczynej, z marzeń i tęsknot wygnańczych wykwitł ten najczystszy romantyzm ducha polskiego, jakim przeświecona była cała istota zmarłej. Romantyzm ten kazał jej oddawać na usługi każdej dobrej sprawy płomienny zapał młodzieńczy, wielki talent organizatorski i ten niewypowiedziany czar jej postaci. Czar nie dzisiejszy — dostojnej kasztelanki — którym zniewalała wszystkim dla siebie i dla swego dzieła.

Od chwili, kiedy można było podjąć na Rusi najskromniejszą pracę zbiorową, zaczęła tworzyć cały szereg placówek społecznych. Od Towarzystwa Dobroczynności i Oświaty w Humaniu, poprzez Komitet wykonawczy na Rusi, aż do Tow. pomocy ofiarom wojny — stawała na czele każdej instytucji, pobudzała i skupiała energię zbiorową. Żywy jej umysł interesował się każdą sprawą społeczną, ale ukochaniem jej była młodzież i sprawa kobieca. W domu swym zawiązała pierwsze Koło Młodzieży, zapoczątkowując ruch umysłowy wśród najmłodszych; wywalczyła pozwolenie na oficjalne wykłady języka polskiego w szkołach rosyjskich w Humaniu, na które, dzięki funduszom, zebranych przez nią, uczęszczała cała polska młodzież.

W r. 1905-tym zawiązała w Humaniu pierwsze Koło kobiet na kresach, pobudziła do stworzenia szeregu kół kobiecych w Kijowie i innych miastach kresowych, i nawiązała kontakt z organizacjami kobiecymi w Warszawie..

Brała czynny udział w tworzeniu „Ogniska“, domu polskiego w Humaniu; stojąc na czele Komitetu pomocy ofiarom wojny, organizowała cały szereg ochron i szkół w Humaniu.

Jej nazwisko widniało na czele każdej jasnej stronicy zbiorowego życia kresowego. Dzięki jej wpływom przedewszystkiem był Human jeden z żywszych ośrodków życia społecznego i kulturalnego

na Kresach. Sprawę kobiecą, która za jej życia przeszła przez wszystkie fazy i etapy rozwoju, pojmowała zawsze, jako służbę narodową, w której kobieta powinna przodować, a nie jako walkę kobiety o siebie i dla siebie. Ani ciężkie ciosy osobiste, ani piekło bolszewickie, w którym przeszła przez wszystkie udręki, aż do czerezwyczajki włącznie, nie zachwiały słonecznej pogody jej ducha. Przybyła do Polski w r. 1920-tym, aby ze wzmożoną energią pracować w wymarzonej i wywalczonej ojczyźnie. Pomimo trudnych warunków materialnych, pomimo pracy zarobkowej, pracowała wytrwale nad ukochanym swym dziełem — stworzeniem Rady Narodowej Kobiet, wskazywała wytrwale na znaczenie propagandy Polski zagranicą i każdą wolną chwilę tej propagandzie poświęcała.

W maju przed ostatnim wybuchem ciężkiej choroby, która ją od kilku lat nurtowała, jeździła jako delegatka na zjazd Rady Międzynarodowej do Genewy, gdzie nawiązała stosunki z całym szeregiem wybitnych osobistości. Do ostatniej chwili nie opuszczała jej młodzieńczy entuzjazm, ów talizman powodzenia i rozwoju każdej pracy zbiorowej.

On to czynił z niej niezastąpioną przodownicę, która innych za sobą porywała.

Praca społeczna była szczęściem i osłodą jej życia. W tej pracy krzepiła i umacniała się jej dusza, promieniejąc przedziwnym wdziękiem, którego nie zatraciła do ostatniej chwili życia.

Kto znał bliżej zmarłą, tego zdumiewać musiał jej rozwój duchowy w ostatnich latach jej życia.

Dla nas, dla prac rozpoczętych, śmierć jej była zawczesną, ale duch jej dojrzał już do wyzwolenia, i dlatego odleciał, pozostawiając za sobą jasny, świetlisty ślad. W oddaniu ostatniej posługi ś. p. Marji Lisowskiej wzięli udział liczni przedstawiciele i przedstawicielki organizacyj społecznych. Podniosłemi słowami żegnał tę szlachetną postać ks. prałat Józef Kowaliński, poczem przemawiały najbliższe towarzyszkę pracy zmarłej: p. senatorka Józefa Szubeko — imieniem Rady Nar. Polek. p. Bratkowska — imieniem Koła Polek, i p. Jan Lipkowski od polaków z kresów. *Stan sława Czajkowska.*



Ś. p. Marja Lisowska

Kobieta w świecie i w domu

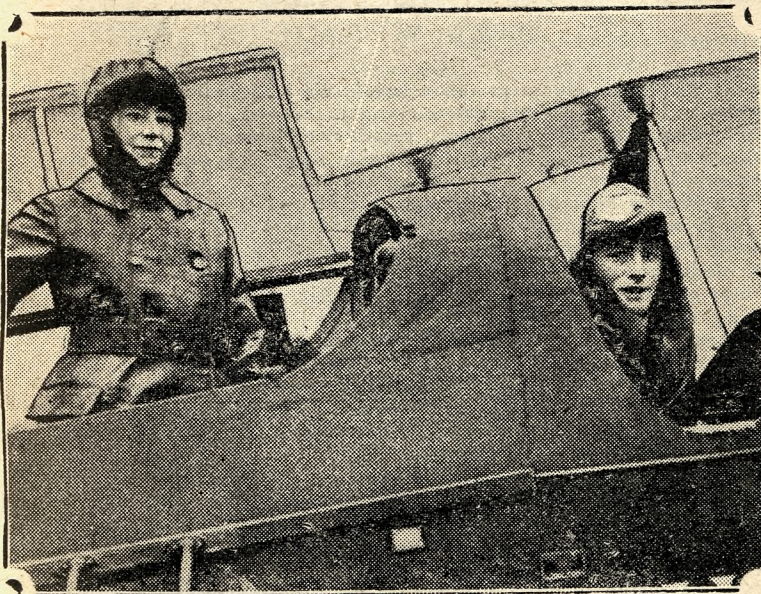
TE, KTÓRE ZGINEŁY, DAŻĄC AD ASTRA

Niema już dziś zawodu, niema pola pracy, na którym obok mężczyzn nie stawałyby kobiety, narażając się na wszystkie te same trudy i niebezpieczeństwa. Od lat kilkunastu zaledwie rozwijające się lotnictwo liczy już setki kobiet, pracujących cicho, bez rozgłosu nad doskonałaniem się w tym śmiałym zawodzie, a gdy lotnicy zapragnęli pokonać ocean i w tem bohaterkiem szaleństwie stanęły z nimi razem kobiety, dzielić śmierć i sławę.

W połowie sierpnia r. b. na lot konkursowy nad Pacyfikiem wyruszyło z San Francisco do Honolulu kilka aeroplanów. Między nimi leciał samolot „Miss Doran”; znajdowało się na nim dwóch mężczyzn: Jan Pedlur, i porucznik Knope oraz panna Mildred Doran, właścicielka aparatu, noszącego jej imię. Jedną z młodych lotniczek, których Ameryka liczy dziś setki. Śledzono z najwyższym napięciem tę imprezę. Dwa aeroplany „Woolleroc” i „Whole” przybyły szczęśliwie do Honolulu, jeden został odnaleziony przez ekspedycję ratunkową. — „Miss Doran” zginął w falach oceanu bez śladu: ani szczątka samolotu, ani jakiegokolwiek wskazówki o losie Miss Doran i jej towarzyszy nie udało się odszukać. Miss Doran zginęła tak, jak dziesiątki jej kolegów-lotników, w pełni młodości, najświetniejszych nadziei i marzeń o wielkiej przyszłości. Na ostatniej fotografii, na chwilę przed odlotem, widnieje postać tej bohaterkiej dziewczyny w całym blasku urody, promiennego uśmiechu szalonej, wesołej odwagi, mierzącej siły na zamiary. Patrząc na tę fotografię, mimowoli przychodzi na myśl przesąd lotników, który zlekceważyła młoda bohaterka: — że nie należy nigdy fotografować się przed odlotem.

Miss Doran była pierwszą kobietą, która puściła się ponad ocean. Może los jej odstraszył współzawodniczkę? Nic podobnego! Nie upłynęły 2 tygodnie, gdy z lotniska Upavon w Anglii wystartował samolot „Saint Raphael”, którego załogę stanowili: pułkownik Minchin, pilot pułkownik Hamilton i księżna Anna Loewenstein-Wertheim. Lot ten był dla wszystkich niespodzianką. Oddawna zapowiadano próby przebycia Atlantyku przez lotniczkę niemiecką Theę Rasche i rosjankę Lubę Filipis, nikt jednak nie przypuszczał, że pierwszą będzie kobieta b. niemłoda, należąca do wysokiej arystokracji angielskiej.

Księżna Loewenstein urodziła się w Irlandji w r. 1864. jako Lady Anna Wiktorja Saville, córka hrabiego Mexborough. Matka jej była wybitną powieściopisarką, używającą pseudonimu Agnes Raphael. Lady Saville poślubiła w r. 1897 bawarskiego księcia



§ Ks. Loewenstein i kap. Joslie Hamilton zginęli podczas lotu nad Atlantykem

Loewenstein-Wertheim. Po stracie męża, który w dwa lata po ślubie zginął, walcząc po stronie hiszpanów na Filipinach, księżna wróciła do Anglii i odtąd poświęciła się lotnictwu, pod kierunkiem towarzysza swej ostatniej podróży, wówczas kapitana Hamiltona, z którym w r. 1913 przeleciała kanał La Manche, wkrótce po locie Bleriota.

Księżna była sama doskonałą pilotką, jedną z najpierwszych pionierek lotnictwa. Posiadając duże środki materialne, latała zwykle na własnych aparatach. Do podróży nad oceanem zbudowano dla niej specjalny samolot, systemu Fockera w Amsterdamie. Przed odlotem w Upavon obecny był arcybiskup Cerdiffu (księżna była katoliczką), który poświęcił samolot i udzielił błogosławieństwa kłęczącej lotniczce.

Samolot typu Fockera jest maszyną bardzo ciężką, to też w pierwszych chwilach startu z trudnością odrywał się od ziemi i leciał tak nisko, że obawiano się, aby nie wpadł na otaczające lotnisko wzgórze. Po paru minutach jednak podniósł się w górę i szybko zniknął z oczu patrzących, płynąc ku zachodowi.

Zamiarem lotników było przelecieć z Anglii do Kanady, do Otawy. Pogoda jednakże, już w chwili wyruszenia nieświetna, popsuła się gwałtownie. Wszystkie stacje meteorologiczne sygnalizowały katastrofalne wichry i burze nad Atlantykem. Z niepokojem czekano sygnałów radjostacji i deszcz iskrowych statków na oceanie, wiadomości z Nowej Ziemi i Kanady. Nic nie nadeszło! Nigdzie nie zauważono żadnego śladu przelotu, „Saint Raphael”, zaginął tak samo, jak „Miss Doran”, jak „Biały Ptak” Nungessera i Coliego, jak „Goliath”, jak „Złoty Orzeł” i ostatni „Old Glory”, po którym znaleziono tylko na wybrzeżach rzucony do morza wieńiec z napisem: „Nungesserowi i Coliemu — lotnicy Berthand, Hill i Payne: pokazaliście nam drogę — idziemy za wami”.

Przeloty nad oceanem kosztowały od 4 miesięcy życia 21 ludzi. W ich liczbie zginęły dwie kobiety. Jedną — uroczą dziewczyną w zaraniu młodości; drugą — kobietą u schyłku życia prawie. Obie rzuciły życie na szalę wysiłków, które prowadzi ludzkość w dążeniu do opanowania sił przyrody, do triumfu ducha nad materją, do lotu w strefy podniebne — ad astra.

N. J.

OTWARCIE SEZONU KLUBOWEGO W CHRZ. STOW. MŁODYCH KOBIEC

Chrz. Stow. Młodych Kobiet w dniu 25 września zainaugurowało zimowy sezon swego życia klubowego.

Uroczystość odbyła się w wielkiej sali gimnastycznej imienia Raua. Rozpoczęto ją odśpiewaniem szeregu „piosenek letniskich”, skomponowanych przez poszczególne grupy Stowarzyszenia podczas wycieczek letnich do Nadbuża. Komedijka pod tytułem „Wieszczysen”, deklamacje i tańce kostjumowe wypełniły barwny i zajmujący program zabawy

Przemówienia powitalne wygłosiły: p. Szczepańska, członkini najstarszej grupy Stowarzyszonych, następnie zabierały głos: przedstawicielka Zarządu Chrz. Stow. Młodych Kobiet, przedstawicielka wydziału Sokolic, oraz Narodowej Organizacji Kobiet.

Cała uroczystość robiła nadzwyczaj ujmujące wrażenie. Widać było na każdym kroku, że młode członkinie Stowarzyszenia uważają klub za swoje drugie ognisko domowe, że wszystkie je łączy serdeczna przyjaźń, oparta na ukochaniu wspólnych celów, dążeń i ideałów.

Nadmienić tu należy, że Chrz. Stow. Młodych Kobiet postawiło sobie za cel rozwój duchowy, moralny i fizyczny młodych dziewcząt, oraz zbliżenie i braterstwo różnych sfer społecznych, grupujących się przy Stowarzyszeniu.

Całokształt Organizacji oparty jest na wzorach amerykańskich klubów dziewczęcych. Podkreśla się tu na każdym kroku znaczenie współpracy członkiń klubowych, aby przyzywać je do zrozumienia, że każdy klub jest tem, czem czynią go jego członkowie. Zarząd zaś otacza opieką całokształt owej pracy, poziom jej i kierunek. Intensywne życie klubowe wyraża się w organizowaniu teatrów amatorskich, chórów, gier ruchowych na świeżem powietrzu, pogadanek z dyskusją, stołowni dla członkiń, urządzaniu letnisk i kursów zawodowych.

Na tle powszechnego biadania nad płytkością współczesnego życia, miło jest zaznaczyć usiłowania grupy młodych kobiet, które podjęły walkę ze stałym obniżaniem się poziomu moralnego wśród dziewcząt, starając się stworzyć im radosną i zdrową atmosferę domu rodzinnego.

R. C. H

NESTORKI RUCHU KOBIECEGO W AUSTRJI

W Wiedniu obchodzono uroczystość 80-tą rocznicę urodzin Reginy Ullmann; jest to jedna z najstarszych przewodniczek ruchu kobiecego, a „najmłodsza” z trzech starsuszek, które od wielu lat nie ustają w pracy społecznej. Panie Marjanna Stainisch, matka

prezydenta Austrii, i Antonina Graf skończyły już dawniej osiemdziesiątkę. W wszystkie jednak staruszeczki trzymają się dzielnie, otoczone szacunkiem i miłością publiczną.

Regina Ullmann, wyszedłszy b. wczesnie za mąż, poświęciła się życiu rodzinnemu, interesując się jednak zawsze sprawami społecznymi i wykształceniem kobiet. Już w r. 1866 była jedną z założycielek Tow. Opieki nad dziewczętami, które zapoczątkowało pierwsze szkoły handlowe i rzemieślnicze dla kobiet. W r. 1873 mąż p. Ullmann stracił znaczną część swego majątku, a wtedy dzielna kobieta zdała egzamin państwowy i objęła kierownictwo jednego z zorganizowanych przez siebie zakładów, dopomagając materialnie do utrzymania rodziny.

Na tem stanowisku pracowała ćwierć wieku. Jednocześnie zaczęła pisywać liczne artykuły do dzienników o ruchu kobiecym, prowadząc także, jako redaktorka naczelna, pismo kobiece: „Das Blatt der Hausfrau“.

Wiek coraz późniejszy i prośby dzieci (wychowała ich sześć) skłoniły ją do zaprzestania pracy zawodowej; nie przestaje jednak interesować się w dalszym ciągu piśmiennictwem i sprawami społecznymi. To też w 70-tą rocznicę jej urodzin, prócz życzeń i wizyt rodziny i przyjaciół, złożyli oficjalne życzenia burmistrz Wiednia dr. Seitz, rząd, ministerstwo opieki społecznej, ministerstwo oświaty oraz prezydent dr. Stainisch z całą rodziną. W najbliższym czasie ma p. Ullmann otrzymać wysokie odznaczenie, którego z przyczyn technicznych nie zdążono przeprowadzić urzędowo na czas.

W pełni władz umysłowych i cielesnych, wesoła i energiczna staruszka, która na obchód swej 80-tej rocznicy powróciła do Wiednia z letnich wywczasów, przyjmowała z serdecznym wzruszeniem życzenia, dziękując za objawy pamięci i szacunku; na wszystkie jednak pochwały i wyrazy podziwu oświadczyła, że najbardziej dumna czuje się ze swoich sześciorga kochających dzieci i ośmiorga wnuków, z których dwóch ożeniło się już w tym roku!

N. J.

KOBIETY W POWIETRZU

Jak donoszą pisma amerykańskie, żona lotnika, pani Grayson zamierza towarzyszyć swemu mężowi w wyprawie do Europy na hydroplanie, wybudowanym przez znanego inżyniera Sikorskiego.

Aparat ten może swobodnie startować z powierzchni oceanu, nawet podczas burzy, jak również i opadać na fale. Aparat jest zbudowany w ten sposób, że w razie potrzeby będzie mógł utrzymać się, nawet przez kilka dni, na powierzchni morskiej,



Pani Frances Grayson w stroju pilota

Kobiety-lotniczki nie ograniczają swej działalności na pobijaniu rekordów powietrznych (miss Lynn), lub na braniu udziału w szalonych raidach, mających na celu przeforsowanie Atlantyku (ks. Loewenstein-Wertheim), ale na równi z mężczyznami służą swoją znajomością sztuki lotniczej w życiu codziennym w stałych handlowych przedsięwzięciach aeronautycznych, wymagających pewnej ręki i niezawodnego oka.

W związku z tem dowiadujemy się, że miss Sicele O'Brien jest drugą kobietą w Anglii, która otrzymała prawo prowadzenia samolotu handlowego.

Miss O'Brien posiada własny aparat, który, jako dorożka powietrzna, będzie przewoził pasażerów, lub towary, pobierając za godzinę jazdy jedną gwineę (około 50 zł.).

R. C. H.

KOBIETA - INŻYNIER W RÓŻNYCH KRAJACH

W połowie września r. b. w Londynie angielskie Stowarzyszenie kobiet-inżynierów obchodziło pierwsze pięciolecie swego istnienia.

Przed wojną ilość kobiet, które ukończyły studia inżynierskie, była niezmiernie ograniczona; dziś we wszystkich krajach przybywa ich corocznie bardzo wiele.

Najwięcej kobiet-inżynierek liczą Stany Zjednoczone; w ostatnim kilkuleciu politechniki w krajach skandynawskich, w Holandji, Niemczech i Szwajcarii przyjmują coraz większe zastępy studujących dziewcząt.

Z krajów pozaeuropejskich najżywszy ruch w dziedzinie technicznego wykształcenia kobiet wykazuje Japonia; tam jednak kobiety-inżynierki poświęcają się przeważnie aeronautyce.

We Francji do szkół technicznych i politechnik kobiety są dopuszczone dopiero od roku 1916-go, i choć stanowią nieznaczny odsetek wśród studentów, jednak dorobek pracy ich na tem polu jest dość obfity, szczególnie w dziedzinie prac laboratoryjnych i w zastosowaniu do handlu.

W Danii pierwsza kobieta uzyskała dyplom inżynierski w r. 1904. Od tego czasu 128 dunek trudni się zawodowo fachem inżynierskim w charakterze elektrotekniczek, architektek, chemiczek i t. p.

Z pośród nich 20 kobiet posiada stanowiska w laboratoriach państwowych, pięć zaś pracuje w duńskim Urzędzie patentowym. W Anglii dziewczęta są przyjmowane narówni z chłopcami na wyższe studia techniczne. W kraju tym jest już wiele dyplomowanych inżynierek, które przeważnie są członkiniami inżynierskich Związków i Stowarzyszeń.

Stosunkowo mało kobiet poświęca się studjom chemicznym. Znany amerykański chemik — prof. Byers w następujący sposób wyraża się o pracy kobiet w dziedzinie chemii:

Chemja otwiera dla kobiet takie same możliwości pracy, jak dla mężczyzn, czy to w laboratoriach, czy w fabrykach przy badaniu surowców, czy analizie produktów. Katedry profesorskie w tej dziedzinie — stoją dla nich również otworem.

Dlatego dziwne jest, dlaczego tak niewiele kobiet studjuje chemję. Nap. w politechnicznej Wyższej Szkole (Cooper Union) w Nowym Yorku na wydziale chemicznym są tylko dwie studentki z których jedna jest polką.

R. C. H.

KOBIETA W INDJACH

Kobieta hinduska powoli wyzwala się z niewolniczego położenia, w które ją wtrąciły ostatnie wieki. Dawniej jednak było inaczej. Starożytne Indje znaczną część swojej dawnej chwały zawdzięczały poważnemu stanowisku, jakie niegdyś w kraju tym zajmowała kobieta.

Wpływ kobiet rozciągał się wówczas nie tylko na rodzinę, ale i na życie społeczne, religijne i umysłowe narodu.

Powyzsze przekonania wyraża hinduski pisarz M. T. Vyas, w niedawno wydanym dziele p. t.: „Ideały kobiece w Indjach“. Autor napisał owo dzieło, pragnąc pobudzić dzisiejsze swe rodaczki do odzyskania swoich dawnych praw i ukazania im dawnego ich znaczenia w epoce czysto wedyjskiej i buddystycznej.

— Kobieta, — powiada on, — była podczas najścia Indyj przez Ariów nie tylko szanowana, ale i czczona powszechnie. Posiadała ona prawo wolnego wyboru męża. Ówczesne umysły kobiece dążyły do urzeczywistnienia najwyższych ideałów, które uważane były przez nie za jedyny cel istnienia ludzkiego.

W czasach nieco późniejszych buddyzm nie czynił różnicy między mężczyzną, a kobietą, tak w dziedzinie życia społecznego, jak i umysłowego. Wtedy to kobiety stały się misjonarkami wiary. Tak naprzykład Sangamitra, córka wielkiego Asoki, założyła w Ceylan wielki klasztor buddyjski.

Wszystko to jest dowodem, że współczesna ewolucja kobiety hinduskiej nie jest dziełem przypadku, a nawiązuje zamierzalnie, najszlachetniejsze tradycje narodu.

R. C. H.



P. William J. Gonnors w swojej motorówce

CZY JEJ SIĘ UDA?

W końcu października p. J. Gonnors, amerykanka, ma zamiar pobić rekord szybkości na motorówce między Albany i New-Jorkiem; odległość wynosi 135 mil ang.

W zeszłym roku p. Gonnors uległa wypadkowi na tej samej motorówce, z powodu wadliwego działania motoru; to też obecnie przyholowano ją do New-Jorku, gdzie cały tydzień badano drobniawo sprawność łodzi w najdrobniejszych szczegółach.

„Miss Okeechobee” — tak zwie się łódź, którą widzimy na załączonej fotografii — jest jedną z najszybszych motorówek, i mamy nadzieję, że w najbliższych dniach dzielna sportsmenka ukończy szczęśliwie swój raid.

W ROSJI SOWIECKIEJ

Paryskie „l'Oeuvre” z dnia 27 sierpnia r. b. podaje następujący wyciąg z gazety „Krasnaja Zwiezda”, w tłumaczeniu Piotra Mille: „Rozwody seryjne”.

W dniu powszednie od samego rana biura rejestracyjne aktów Stanu Cywilnego są przepełnione interesantami. Chodzi o otrzymanie rozwodu, o który zgłaszają się masowo, całymi rodzinami: — ojciec, brat, siostrzenica, — wszyscy. Spotkać tu można również takich, którzy rozwodzą się przypadkowo, prosto dla dotrzymania towarzystwa tym, z którymi przybyli do biura.

Ale oto trafia się para narzeczonych. Zanim się jednak wpisze nazwiska ich do księgi małżeństw, należy wpierw zarejestrować ich rozwód: jej — z ex-małżonkiem, jego — z ex-żoną.

Zgłasza się młoda kobieta, oczywiście pragnąca również rozwodu.

— Gdzie jest mąż pani?

— W biurze.

— Czy życie państwo wspólnie?

— Tak jest.

— Dlaczego pani pragnie się rozwieść?

— Ażeby dokuczyć mężowi.

Powód wystarczający. Kobieta otrzymuje rozwód, tylko dlatego, że chce zrobić na złość mężowi.

Rozwodzą się nie tylko młodzi, ale również ludzie w podeszłym wieku. Do biura zgłasza się starsza pani, lat pięćdziesięciu, o wyglądzie poważnym.

— Nie wiem, gdzie obraca się mój mąż, — oznajmia urzędnikowi. — Nie pisze, ani nie daje znaku życia od miesiąca. Wobec tego... Nieprawdaż?

Procedura rozwodu jest nieskomplikowana, nie zajmuje więcej niż 5 minut; w wypadkach bardziej zawitych — 10 minut. Zastosowanie systemu Forda w całej pełni.

KLUB AMERYKAŃSKI 8—40

Podczas uroczystości, zorganizowanych niedawno w Paryżu na cześć Legji Amerykańskiej, zwracał uwagę oddział amerykański, przystrojony w luźne czerwone peleryny i czapeczki, ozdobione białymi, niebieskimi i czerwonymi piórami.

Na kołnierzu peleryny i na czapeczkach widniały małe tabliczki z wyhaftowanym napisem: 8-40.

Co oznaczały te cyfry, zauważone już na mundurach dawnych kombatantów amerykańskich? Czy były to numery armji, pułku, czy sekcji?

Ani jedno, ani drugie, ani trzecie: Była to poprostu nazwa pewnego klubu. Członkowie armji amerykańskiej, przybyłej na pomoc Francji byli, ku wielkiemu swemu zdziwieniu przewożeni na teren wojenny w dość niewygodnych wagonach, noszących napis: 40 ludzi 8 koni.

Członkinie Amerykańskiego Legionu Pomocniczego i liczne sanitariuszki miały również podczas wojny niejedną sposobność do zapoznania się z owymi sławnymi wagonami. Na pamiątkę owych wagonów nazwały one swój klub imieniem 8-40 (8 kapeluszy, 40 kobiet).

Podczas gdy członkowie analogicznego klubu męskiego noszą według rangi tytuły szefa pociągu, maszynistów, palaczy i t. d. członkinie klubu kobiecego przybrały sobie stopnie, stosownie do godności: „kapelusze (przewodnicząca), „półkapelusze” (vice-przewodnicząca), i „ćwierć kapelusza” (sekretarka).

Stosownie do znaczenia stopnia, zmienia się kolor piór, ozdabiających czapeczki dam klubowych. Pod płaszczem wełnianym, przypominającym peleryny sanitariuszek, noszą one białe suknie z crape de chine'u; z podobnej materji sporządzone są również podszewki peleryn. Wojna się już skończyła, — elegancja powraca do dawnych praw.

R. C. H.

NAJMŁODSZY FASZYSTA

Żona premiera włoskiego Benita Mussolini, p. Rachela Mussolini wydała na świat w tych dniach trzeciego syna.

Małeńki „Romano”, (takie imię otrzymał na chrzcie najmłodszy faszysta) cieszy się doskonałym zdrowiem, zarówno jak i pani Mussolini.



Pani Mussolini



TEATR NARODOWY

„Król Agis” Dramat w trzech aktach *Juljusza Słowackiego*.

W latach, kiedy niejako na marginesie „Króla Ducha” powstał niedokończony dramat o królu spartańskim, uspokoiły się już ziemskie ambicje Słowackiego, a żyło tylko pragnienie trwania duchem poprzez śmierć cielesną. Na mgławicach wizyj pisał się testament niewiadomemu spadkobiercy.

Dzieje młodego króla Sparty są smutne, jak każdy chybiłony wysiłek. Widzimy więc, jak wielkie dzieło odrodzenia, powiedzmy, sanacja moralna i materialna państwa — kruszy się w rękach łotrów i tępych zacofańców. Zapał króla Agisa porwał wprawdzie na chwilę i zrewolucjonizował umysły wspaniałymi hasłami, ale ancien régime tkwił jeszcze mocno w jałowej glebie ciemnoty i upodlenia, skoro trzeba było spartańskiemu społeczeństwu błyszczących podniet wojennej sławy. Agis, wracający bez wieńca laurowego z wyprawy, zastanie na agora pomruk szyderstwa; powłoką go przed sąd eforów, utraci władzę, koronę, wolność, przyjaciół. Zostanie sam.

Nie będzie jednak szarpał łańcuchów, ani żałobnie wyrzekał losowi. Powie: „Królestwa tego nikt mi nie odbierze; tego uśmiechu nikt nie zetrze z czoła”.

I ten właśnie uśmiech będzie strwożonych widzów pouczał, że wysiłek, nieudany z powodu złej woli, podstępny, czy nieświadomości drugich, nie jest tragedją wewnętrzną. Słowacki wyraził przeciwieństwo tym uśmiechem wczesne kwitnienie idei. Śmierć może więc tylko obudzić krzyk rozpaczny w tych, którzy wiążą sprawę ducha z formą cielesną. Duch-idea spłynie cichym uśmiechem na wargi skazańca, a gdy te ochłodną, idea w innej formie przedłuży swój byt na ziemi. I cóż z tego, że spadkobiercą Agisa jest maluczki Kleomenes, syn wroga?

Sprawy dramatu wyrosły z wierzeń poety. Daleka Sparta i Plutarchowe bohaterzy są jedynie pretekstem, aby poprzez nie przemówiły wypadki bliskie i myśli, najgłębiej sięgające.

W przededniu niemal „wiosny ludów” marzył się przeciwieństwo „król ludu, wytryśnięty z bruku” i szumiął w uszach rewolucyjny zew: „Wolność, równość i podział ziemi!” Po tylu próbach, powtarzających się raz poraż od dni wielkiej rewolucji, zdarzyć się mogło, że i ta nadchodząca rewolucja dozna niepowodzenia. Przeciwnie przeciwstawiały się jej tak samo silnie tradycje, mówiące starymi ustami matek-Hekub: „O ty, dziki kocie, który się rzucasz na własną ojczyznę, spokojną, świętą!”. Przeciwnie przeciwstawiała się bezwola mas „niezdolnych dotrwać tu wolnemi”. Nowa walka o wolność i równość mogła przynieść nową klęskę — ale nie ostateczną! Zapalony lont wolności nie mógł i nie powinien być zagasnąc.

To jedno. A drugie — to rozwinięcie mistycznych tez, wiara w wędrówkę ducha aż do spełnienia przeznaczeń.

„Król Agis” nie jest najpotężniejszym słowem poety i stąd też nie przekonywa nas łatwe poddanie się bohatera i szkicowość wydarzeń, które spływają po wierszu, jak krople krwi po klin-dze. Występujące osoby są jakby sobowtórami, przybyłymi na scenę z innych dramatów Słowackiego. Ciekawe jest jednak, że forma antyczna miała w sobie pomieścić mistykę. Właśnie zastanawia umiar i opanowanie, oszczędność słów, nie spotykana u poety. Wprawdzie Agis, zdaniem Agezyłausza, „jak na Lacedemończyka, gada za wiele”, ale w istocie Agis jest skąpy w słowach, skoro przed sędziami wypowie tak krótko niestłumiony nigdy żal poety: „Dajcie pokój; Jam ducha w duchy wasze rzucił, a wy chcecie

mnie z siebie wyrzucić językiem! Dajcie pokój; Baranek jestem przed rzeźnikiem. Wiecie, że nie czyniłem wam nic złego”.

I tak, podczas gdy duch Agisa czekał zbyt długo na ziszczenie się idei (a może podziś czeka!) to artystyczny pomysł poety znalazł już spadkobiercę w Wyspiańskim, dla którego Akropolis stanie się Wawelem, a grecki hoplita — podchorążym.

Grano „Króla Agisa” w Teatrze Narodowym nieszczęśliwie, Węgrzyn rozjęczał się w przewidywaniu tragicznego końca, Broniszówna chrypiała wprost skandalicznie, Lindorfówna udawała liryczną rzewność. Najlepszy był może Zelwerowicz. Dość sprawnie funkcjonowały chóry, a zwłaszcza dobrze mówili wiersz przodownicy: pp. Halska i Hryniewicz. Dekoracje Drabika interesujące. h. n. (w zastępstwie)

Z WYDAWNICTW

Na półkach księgarskich ukazała się książka inżyniera Konstantego Kamińskiego, p. t. „Pranie bielizny i pralnie nowoczesne”. Podaje ona, oparte na zasadach naukowych racjonalne i oszczędnościowe, metody masowego prania, maglowania i prasowania bielizny. Książka ta, przeznaczona przede wszystkim do użytku wojska, daje tyle wskazówek praktycznych, co do stosowania różnych gatunków mydła i różnych — dzisiaj tak modnych — namiastek, proszków, zastępujących mydło; tyle rysunków rozmaitych przyrządów, maszyn do prania, wyżymania, maglowania i t. p., że nietylko wielkim, przemysłowym pralniom przyniesie dużą korzyść, lecz przeczytać ją z zainteresowaniem może, a nawet powinna każda praktyczna, a oszczędna pani domu.

Na szczególniejszą uwagę zasługują tablice porównawcze kosztów prania przy różnych systemach i użyciu różnych rodzajów mydła i jego surogatów.

Przestrzega też autor przed rozmaitemi, modnymi środkami, zastępującymi mydło, niszczącymi, — przy dłuższym użyciu, — tkaniny: działają one bieląco wskutek wydzielenia się tlenu; im to wydzielenie się jest silniejsze, tem prędzej kruszeją włókna. Przy końcu książeczki jest specjalnie pożyteczny rozdział o wywabianiu różnych plam, niedających się usunąć zapomocą zwykłego prania; rozdział ten powinna sobie wynotować w całości każda praktyczna gospodyni. Pani Elżbieta.

* * *

Drobnych rękopisów nie zwracamy. Z obszerniejszych nowel, artykułów i t. d. ulegają zwrotowi tylko prace, zaopatrzone znaczkami na odpowiedź i wyraźnym żądaniem odesłania wrazie nieprzyjęcia.

„MODNE ROBOTY KOBIECE”

BOGATO ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK

Każdy zeszyt stanowi oddzielną całość i daje sposoby wykonania najnowszych rodzajów robót kobiecych, oraz wzory naturalnej wielkości.

ZESZYT CZERWONOWY:

„NAJNOWSZE SPOSOBY OZDABIANIA SUKIEN” — aplikacja, haft, liworyzacja.

ZESZYT LIPCOWY:

„NAJMODNIEJSZE SZALE” szydełkowe i na widełkach.

ZESZYT SIERPNIOWY:

ARTYSTYCZNE TKACTWO BEZ WARSZTATU.

ZESZYT WRZEŚNIOWY:

„SERWETY I SERWETKI” — łatwy haft kolorowy.

Cena zeszytu 2 Zł.

Adres Redakcji — Krakowskie Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

COŚ NIECOŚ O GENTELMENNACH WARSZAWSKICH I ANGLOSASKICH

Ktoś kiedyś powiedział, że dla każdego mężczyzny, gdy chodzi mu o zdobycie serca niewieścigo — najłatwiejszą, nic go przecież nie kosztującą kwestją (wykluczmy kwiaty) — jest właśnie zewnętrzna, powierzchowna afektacja: prawionych duse-rów i komplementów, obietnic-cacane-k; przymilań się; składanych pocałunków na rączkach pań i t. d. i t. d.

Zdawkowe, tanie efekty i manewry, na które, pono, wszystkie kobiety tak łase, a już polki lecą na to, jak śmy!

Wychodząc zapewne z tego założenia, czyli konieczności, ujawnienia wybuchającej, nagłej „sympatii“ do każdej, dopiero co napotkanej, kobiety, gentelmenowie nasi są tak skorzy, tak bezczelnie śmiali w zaczepianiu i atakowaniu kobiet: na ulicy, w parku, ogrodzie, kinie. Wszystkich bez wyjątku kobiet, od dziewczątek, do solidnie wyglądającej damy, nieco modniej i szykowniej ubranej, I to w biały dzień i w śródmieściu! Plaga ta wszystkich większych miast w Polsce stała się już dzisiaj tak banalną i codzien-ną, że nawet wcale o niej się nie mówi.

Jest to jeszcze jedno malum-necessarium, które tolerujemy dotychczas tak, jak tolerujemy, dajmy na to — prostytutkę.

Trudno bowiem wyobrazić sobie ulicę Marszałkowską, czy którąś z Alej w stolicy, bez tego nadprogramowego dodatku — by do pośpieszającej, samotnej warszawianki, gdy nieco się ściemni — nie przy-czepił się zaraz jakiś „mops“.

Mops? Skąd znowu — „jakiś mops?“ Głupiutkie, a przecież bezwiednie trafne określenie panięskie, pozostałe jeszcze z czasów pensjonarskich i już na całe życie. Z tych dni — gdy na każdym rogu ulicy wpo-bliżu pensji żeńskiej — zbijali się w gromadkę młodociane „mopsiki-sztubaczki“ i robiły „prze-gład pa-nięński“.

Chciały, czy nie chciały — te wszystkie „sroc-zki“, „sarenki“ i „gąski“, — a musiały defilować pod krzyżującym się ogniem spojrzeń chłopaków, małpujących mężczyzn.

Bardzo zażenowane, aż do przykrości speszone (przynajmniej tak było, za moich jeszcze czasów), wyczuwając, że jesteśmy obserwowane w jakiś specjalnie nieprzyjemny, obrażający sposób — uciekałyśmy, uciekałyśmy...

Później, z biegiem lat, acz już dorosłe, zamężne i samodzielne, spotykałyśmy na naszych drogach, takich „mopsów“ bez liku. Były coraz bardziej bezczelne, coraz bardziej natrętne.

(Słowo to stało się wreszcie dla mnie dziwacznym synonimem pewnego gatunku mężczyzn, skupiających w sobie, zdaje się, wszystkie defekty rodu męskiego. Biedne, prawdziwe mopsy! i cóżecie mi zwiniały?)

A dziś, gdy w wolnej Polsce niejedna wrzodzia-ka, czy wrzód gangreny powojennej zostały wygojone, gdy niejedną naleciałość obyczajową brutalnych oku-pantów usunięto — „mopsy“, rozbestwione nie na żarty, wiecznie głodne i niesyte wrażeń, stale tropiące i węszące — polują i nadal na nasze młode dziewczęta i kobiety.

Gorzej jest. Mnożą się z szybkością niewiarogodną. Zaraza dotknęła, zdaje się, wszystkie warstwy społeczne wszystkie klasy i środowiska życia publicznego.

Oto żółtodziób w studenckiej czapeczce przed-wześnie zgangrenowany; oto młody robotnik w bluzie, sprawujący sobie po ciężkiej pracy „wytchnienie“; oto subjekt ze sklepu; kolega — urzędnik z innego departamentu; szykowny pan marynarz; zabójczy pan porucznik! Stary, młody, brzydki, łysy!.. Przecież swój człowiek, rodak, u siebie w domu i w okresie roz-maitych „samostanowień o sobie“, — a trzeba uważać, mieć się na bacności, zaczepi ni stąd ni zowąd, po-wie coś nieprzystojnego, ba! odgryzie się brutalnie, jeżeli kobieta zdobędzie się wreszcie na jedno słówko: „precz!“ I spotkać go można wszędzie, poprostu wszędzie. Niewyczerpany jest w pomysłach i bez ambicji.

W ogrodzie, czy w parku rzadko kiedy uda się dziewczynie pomedytować samotnie, z książką pod pachą. Dla warszawskiego „mopsa“, czyhającego na każdą okazję — będzie to nieomylny sygnał do zaczepienia.

W tramwaju? oo!... ustąpi natychmiast miejsca, a jakże! i tylko, oczywiście, młodej i modnie ubranej pani, i zaraz wwierni się pomiędzy ławki, tak aby przynajmniej dotknąć kolan, nóżek, przycisnąć się bliżej tej właśnie, „upatrzonej“ kobiety.

W kinie — zacznie zaraz manipulować łokciem, chuchać wprost w oczy sąsiadki, chrząkać znacząco.

W salonie, w najlepszym towarzystwie, eleganc-ki i obyty, ledwo przedstawiony, pocznie bawić da-my sprośnemi, nieprzyzwoitemi anegdotami, czy bo-daj powiedzeniami.

Trzeba udawać, że nic a nic się nie rozumie. Ze już nie wspomnę, jak taki pan zachowuje się na dancingach, lub plaży!

Najśmielszy jest na ulicy późnym wieczorem, gdy kobiety wracają same z teatrów, odczytów, kon-certu.

Jeżeli się przy-czepi taki utrapieniec, to wytrwa-łość jego może być rozpaczliwa: z ulicy w ulicę, to z prawej, to z lewej, za tobą, przed tobą; im mniej przechodniów — tem bardziej elokwentny — odpro-wadzi nieproszone aż pod samą bramę.

Jak mogą reagować kobiety współczesne, pracu-jące nieraz do późnego wieczora w biurach, urzędach, redakcjach — na cynizm i czelność takich polaków, którzy są wstydem i hańbą całego narodu?

Milczeć? wciąż milczeć, i robić minę z głupia frant i udawać niemądre, że nic się nie zauważa, że wszystko to tylko — na niby — ot, bagatelki! Czy zaprotestować odpowiednio: odwrócić się twarz w twarz i czynnie wymierzyć sobie sprawiedliwość?

I... narazić się na burdę uliczną??

Wnet garstka gapiów wyrośnie z pod ziemi. Stróż bezpieczeństwa publicznego, oile nadaży się wpo-bliżu — zachowa w takich wypadkach bezprzy-kładną ostrożność. Zawsze to niewiadomo... kto tam pierwszy i jak...

W kraju, gdzie zdarzają się jeszcze pojedynki w obronie czci kobiety — „mopsy“ przechwalają się głośno i coraz głośniej, że powodzi się im niezgorzej.

Nie uda się mu 10 razy, 20, 60; walnie go na-wet niespodzianie po łbie laską jakiś przygodny, szla-chetny obrońca; skrzyczą go nawet szpetnie na ulicy — nic nie szkodzi.

Bawił się sobie za rosjan, bawił się za niemców — a teraz będzie bawił się i polował u siebie w Polsce

Kobiety? polki?? warszawianki???

Tak — są winne. Same sobie winne i będą dopóty „udawały“, dopóki same w obronie własnego honoru i dla własnej wygody czegoś nie przedsięwzma.

Tu trzeba wyrwać chwasty z korzeniem, przeorać glebę do gruntu, rozpocząć od szczepienia naszym najmłodszym chłopcom nowej etyki i kultury moralnej.

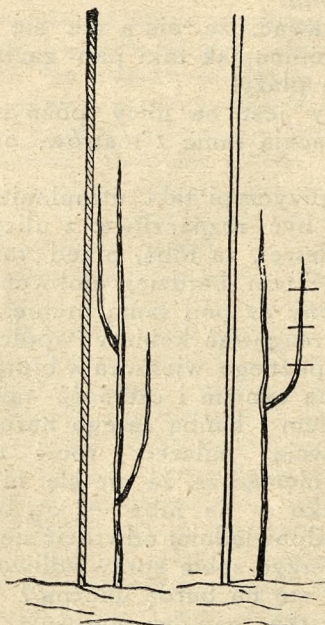
A stare „mopsy?“ — przecież wiecznie żyć nie będą
(c. d. n.) Han. Skar.



HODOWLA WINOGRON

JESIEŃ — ROK 1

Na początku listopada, a nawet w końcu października, gdy liście zmarzną, słabszą wić się odcina, a mocniejszą przycina nad dwoma oczkami, i przechowuje przez zimę w ziemi, jak zwykle (rys. 5).

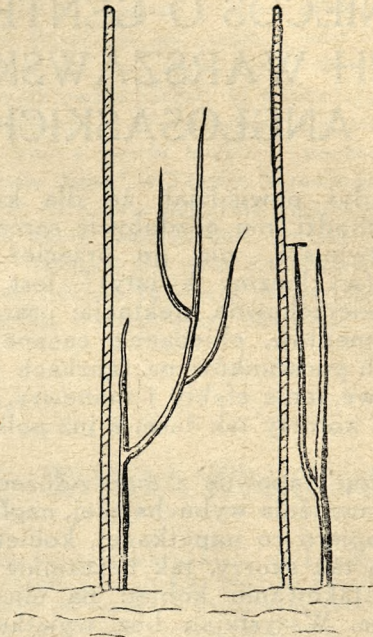


rys. 5

WIOSNA — ROK 2

Na drugą wiosnę w maju, czerwcu znowu z dwóch pędów mocniejszy przywiążemy do palika, a słabszy odrzucimy. Pozwalamy mu rosnać na cztery stopy, a wszystko ponadto odcinamy (rys. 7).

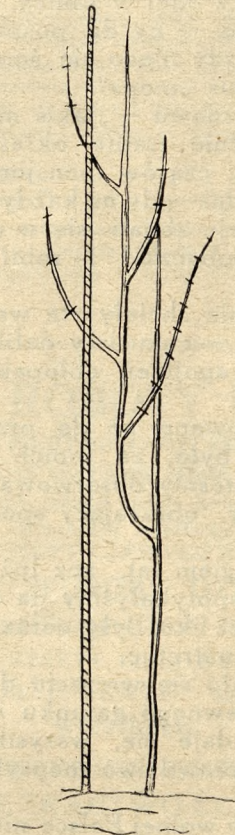
Następnie wyjdą z boków małe pędy w kątach liści, i te się utnie nad 2 liściem, ale dopiero, gdy będą mieć po 7 liści; inne wilczki się skróca (rys. 7).



rys. 6

JESIEŃ — ROK 2

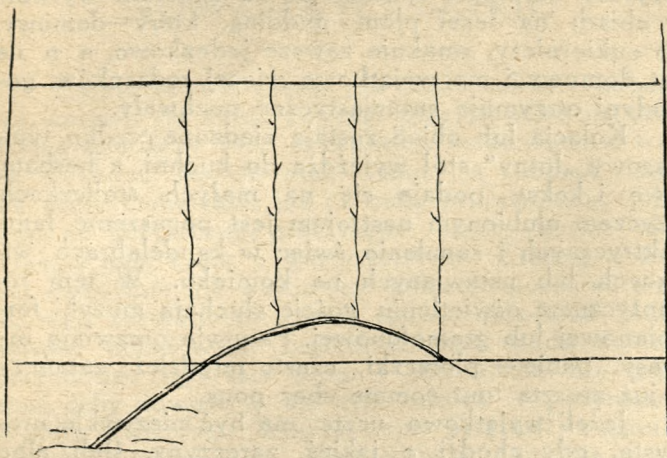
Na jesieni ucinamy każdą wić grubszą na 3 stopy długości, a cieńszą nad 2 oczkiem, by ją wzmocnić, i dołujemy całe krzaki w ziemię, przechowując przez zimę.



rys. 7

WIOSNA — ROK 3

Na trzecią wiosnę przywiązuje się już każdą wić do drutu (rys. 8).



rys. 8

Wtedy wyjdą różne pędy; najniższy, jako zastępczy, poprowadzimy przy paliku do góry, tak jak sama wić, nagiętą, prowadzoną roku zeszłego.

Pozatem będą różne pędy, mające już grona, które rozpoznamy, gdy będą mieć po 5 liści; z ładniejszymi owocami zostawiamy, gorsze—odrzucamy. Pędy z owocami przywiążemy do wyższego drutu, gdy wyżej wyrosną.

Wilczki trzeba uszczykiwać co parę tygodni, jednak tylko do lipca; potem choruje owoc i nie do brze jest odkrywać jagody na działanie słońca, obcinając liście, które i tak schną pod jesień i tem samem dopuszczają więcej światła.

Pęd zastępczy prowadzi się podobnie jak wić, z której wyszedł.

JESIEŃ -- ROK 3

Część, która owocowała na jesieni, musi być odjęta; pozostaje tylko wić zastępcza, którą skrócić na 3 stopy długości; po cięciu pozostanie tylko jedna wić na każdym krzewie do przechowania na zimę.

CIĘCIE I PROWADZENIE SYSTEMEM W „PALMETE“

System prowadzenia winorośli w „Palmete,“ jest, że tak powiem najlepszy, najkorzystniejszy i najwięcej rozpowszechniony u nas; prowadzi się i obcina w sposób następujący:

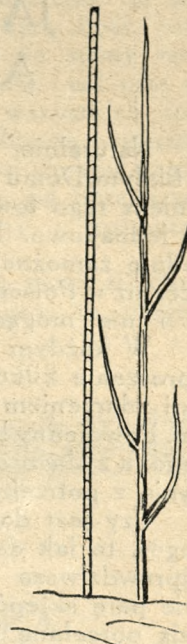
ROK 1.

Posadziwszy winorośl na właściwym miejscu, trzeba wbić koło krzaka palik, na półtora metra wysoki, aby było do czego przywiązać, gdyż rusztowanie można założyć dopiero na rok następny.

Staramy się przez pierwszy rok, aby wyprowadzić jeden mocny pęd, który zostawiamy, aby rósł swobodnie do jesieni; naturalnie, nie potrzebujemy nadmieniać, że jak tylko odskoczy od ziemi, to go musimy przywiązać lekko do owego palika, aby wiatr go nie złamał; wogóle winorośl zawsze musi być przywiązana, jak tylko zachodzi tego potrzeba.

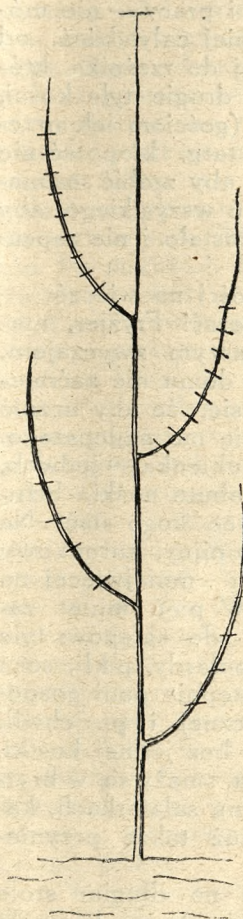
ROK 1 — JESIEŃ

Przed zachowaniem takiego krzaka na zimę do ziemi, obcinamy taką wić na 2 do 3 stóp wysokości; im grubsza — tem wyżej.



rys. 9

ROK 2 — WIOSNA



rys. 10

Wciągu wiosny wyjdą różne pędy, ale my wybieramy z pośród nich tylko pięć, mianowicie cztery boczne, a przewodnik piąty.

Pierwszy pęd od ziemi powinien być puszczonej mniej więcej na wysokości 6 — 8 cali, a następne proporcjonalnie w podobnej odległości idące do góry.

Te pędy trzeba przywiązać do kraty, a palik odrzucić, gdyż już jest niepotrzebny. Następnie uciąć, gdy osiągną 3—4 stóp wysokości. W każdym razie zrobić to trzeba wkońcu sierpnia, aby wino drzewniało pod zimę.

Przewodnik puszcza się swobodnie do końca muru i tam urywa się go też przy końcu sierpnia.

(c. d. n.)

Zofja Lempicka.



JAK PRZYJMUJE AMERYKANKA

Naturalnie, nie pani prezydentowa Coolidge w Białym Domu i nie Mrs Morgan, Rockefeller etc. Panie z tego towarzystwa przyjmują na całym świecie jednakowo. Nie, mowa tu o przyjęciu w domach średnio zamożnej inteligencji, bogatszej może w Ameryce, niż w Polsce, ale nie rozporządzającej liczną służbą i nie mogącej pozwolić sobie na wielki luksus.

W każdym takim średnio zamożnym domu u nas, zaproszenie kilku, lub kilkunastu osób jest dla gospodyni zdarzeniem niezmiernie kłopotliwym i pracownym. Powojenny brak mieszkań i właściwie brak wszystkiego, a zwłaszcza dobrych urządzeń gospodarskich—czynią z potrzeby przyjęcia gości prawie katastrofę.

Czy jest dostateczna ilość nakryć, a jeśli brak czegoś, to jak dokompletować? Trudno uwierzyć, ale najprawdziwsza prawda, że w Warszawie jest zaledwie parę sklepów, które za b. słąną opłatą wypożyczają porcelanę i szkło, a nakrycia platerowane, noże, widelce i t. p. jeszcze trudniej dostać.

Czy nasza służąca, jeśli ją mamy, okaże się możliwa, a jeśli pani obywa się bez niej, to gdzie i jak znaleźć naprędce jakąś kobietę do pomocy?

Gdy już pani rozstrzygnie ten problemat, pozostaje przygotowanie samego przyjęcia. Przystosobiasię dużo z wielkim nakładem sił i pracy—nie mówiąc już o pieniądzech—przynajmniej cały dzień, od wczesnego ranka. Trzeba iść samej do rzeźnika, który do kilku funtów mięsa dołoży drugie tyle kości, z którymi nie wiadomo, co zrobić, (gościom ich przecież, dać nie można), potem na targ, kłopotać się o ryby, drób; obliczać, jak zdążyć, aby zrobić sos majonezowy, a kanapki, a ile kupić wszystkiego, aby nie było skąpo, a zbyt wiele nie zostało i nie zepsuło się! Kwadratura koła!

Amerykanka, gdy zaprosiła gości na wieczór—przedewszystkiem zaczyna się ubierać! Fryzjer, manicure, potem toaleta. Wbrew naszym zwyczajom, zwłaszcza dawniejszym, aby pani domu nie zaćmiewała strojem gości, tam uważa się, że aby ucieszyć gości, należy się ubrać w to, co się ma najlepszego. A więc wytworna wieczorowa sukienka—jedwab, gaza, głęboki dekolt, przesłicznie obute nóżki, biżuterje, prawdziwe lub imitacja, na co kogo stać. Na to wszystko kładzie się mikroskopijny, koronkowy fartuszek i wchodzi się do kuchni—mniej więcej na godzinę przed przybyciem gości. W pięć minut załatwia się sprawunki—telefonuje do sklepów: tyle a tyle porcji rozbefu, baraniny, pulardy, pikli, sosu majonezowego, sałaty. Włącza następnie pani gospodyni kontakty kuchenki elektrycznej i po chwili „pieczeń“, przysłana od rzeźnika bez jednej kostki, oczyszczona, zbita, nawet... posolona, smaży się w brytfannie, sałatki i sosy układają się na salaterkach, kawę parzy się w maszynce, deser już także przyniesiono z cukierni.

Przyjęcie gotowe, ustawione na długim stole kuchennym—któżby tam w pokoju trzymał ciągle takie wielkie stoły! Wsuwa się go na chwilę przed przybyciem gości.

Gdy już się zjawia, to, o ile niema służącej w domu, wszyscy gospodyni pomagają. Nikt zaś nie zasiada do stołu z jakimiś wygórowanymi wymaganiami. Rozbef, lub stek z sałatą, albo ulubiona nad

wszystko baranina, uważane są za zupełnie wytworny obiad; na deser plum-pudding, który—domowy, lub cukierniczy, smakuje zawsze jednakowo, a o ile jest domowy i ma wyjątkowo więcej rodzenków, gospodyni otrzymuje entuzjastyczne pochwały.

Kolacja lub obiad zostają zjedzone prędko, tymczasowy „lotny“ stół wyjeżdża do kuchni, a herbatę, kawę i keksy podaje się na małych stoliczkach, przyczem ulubionym nastrojem jest pogaszenie lamp elektrycznych i zapalenie świec w kandelabrach wiszących, lub ustawianych na kominku. W tem romantycznym oświetleniu goście słuchają muzyki fortepianowej lub gramofonowej. Panowie omawiają interesy, panie—ploteczki, często młodzież zatańczy to już zresztą tout comme chez nous.

Jeżeli wyjątkowo uczta ma być niezwykle uroczysta, gdy chodzi o jakieś zaręczyny, ślub, albo uczczenie wielkiej nagrody sportowej—przyjmuje się gości wystawniej. I wtedy wystarczy zatelefonować do najbliższej większej restauracji, aby w pół godziny wszystko było załatwione: menu, nakrycie, kwiaty, służba. Jest to tylko kwestją ceny—przyjęcie na sześć osób może kosztować 20 lub 100 dolarów, ale będzie w każdym czasie, na każde żądanie i w granicach owej ceny w rzetelnie najlepszym gatunku.

U nas, zwłaszcza w większych miastach—też niby jest to wszystko, ale prawdziwie, że tylko „niby“. Przedewszystkiem każde przyjęcie zamówione być musi w hotelu lub restauracji znacznie wcześniej; dalej—jeśli nie jest specjalnie wykwinne—ludzie na nie nosem kręca, a jeśli jest specjalnie wykwinne—kosztuje sumy neapolitańskie. Ogólnie zaś biorąc, dlatego właśnie, że nie jest w powszechnem użyciu, kosztuje tak drogo.

A warto by to zmienić, bo mieszkania mamy ciasne, służbę—no, lepiej nie mówić. Życie towarzyskie „przyzwoite“, domowe, zaczyna zupełnie zanikać. Trochę mniej smakoszowskiej przesady ze strony gospodarstwa i gości, a trochę więcej energii i zadowolenia się mniejszymi zyskami ze strony różnych przedsiębiorstw spożywczych—ułatwiłoby znakomicie możliwość przyjmowania w domu. N. J

Ważne dla matek i wychowawczyń!
Niezbędne dla szkół!

W KOŃCU PAŹDZIERNIKA UKAŻE SIĘ JEDYNE W SWOIM RODZAJU WYDAWNICTWO

P. T.

WZORY OZDÓB CHOINKOWYCH

OKOŁO STU OZDÓB NA CHOINKĘ W NATURALNYCH KOLORACH, WRAZ Z DOKŁADNĄMI OBJAŚNIENIAMI I SPOSOBEM WYKONANIA

CENA 5 ZŁ.

Z przesyłką poleconą 5 zł. 50 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz“. Krak.-Przedm. 99. po przesłaniu należności znaczkami pocztowymi, lub na konto czekowo P. K. O. Nr. 13.555.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie wysyłamy.

NOWE ZWYCZAJE

Prawie równie często, jak moda sukien i kapeluszy, zmienia się moda zwyczajów przyjęć, nakrycia, urządzenia mieszkań etc. Jakkolwiek niekoniecznie trzeba stosować się do niej, trzeba ją jednak znać, tak przez ciekawość, jak i w celu przyswojenia sobie tego, co pożyteczne, praktyczne, często nawet ułatwiające nam życie i gospodarstwo. Zresztą w żadnej dziedzinie nie wolno jest kobiecie pozostać w tyle, razić zacofaniem. Nowy sposób układania jadłospisów obiadowych zagranicą, skąd moda do nas przychodzi, wykreśla zupę: — nie można nie przyznać, żeby nowość ta nie była celową i pożyteczną. Według twierdzeń lekarzy, zupa przynosi najmniej pożytku organizmowi, niepotrzebnie napełnia żołądek i pobudza do tycia osoby, skłonne do tego przekleństwa starszego wieku. A więc inowacja nie najgorsza, choć brakować będzie z początku talerza dobrej, gorącej zupy, której ojczyzną musi być Polska, bo nigdzie nie dają tak dobrych, jak u nas. W miejscach zupy podaje się (mówimy o zagranicy) ostrygi, lub, w domach mniej zamożnych, inne jakieś skorupiaki, koniecznie otwarte i tak, jak ostrygi, ułożone na drobno utłuczonym lodzie. U nas ostrygi są niedostępne, nie można więc ich brać w rachubę; ślimaków nikoby do ust nie wziął; kawior byłby bardzo wskazany, gdyby nie nadmiernie wysoka cena, czyniąca zeń przekasę nowobogackich. Czemu nie spróbowałibyśmy kawioru z bakłażanów? podany na lodzie, z dużą ilością wciśniętej cytryny, z drobno posiekana cebulka, zaprawiony oliwą, przypomina, posmarowany na bułeczce z masłem, ogólnie lubiany kawior, a już od czerwonego, na którego wspomnienie po tylu latach jeszcze dziś człowiek się wzdryga, — o wiele jest lepszy. Sposób przyrządzenia go jest bardzo łatwy: upieczonego w piecyku bakłażana ostudzić, następnie wydrążyć i ten środek wraz z ziarnkami przyprawić tak, jak wyżej wskazałam. Cały sekret, aby podać bardzo zimne, a jedząc — myśleć o prawdziwych kawiorach.

Spróbujmy i przekonajmy się — nauczmy się jądać rzeczy nieznaną, skoro od znanych odzwyczajić nas musi cena, nie zgadzająca się z zawartością naszych kieszeni. Jeżeli tym nowym zwyczajem nie zdobyłam sobie uznania moich czytelniczek, pewna jestem, że następującą wiadomością zrehabilituję się całkowicie.

Otóż ku zadowoleniu nie tyle pań domu, ile zaproszonych gości, donoszę, że narzędzia tortury niejednej lub niejednego, — stołowe nogi, — należą już obecnie do przykrych wspomnień. Z chwilą wprowadzenia okrągłych stołów na jednej nodze, w formie grubego słupa, każdy będzie siedział wygodnie, każde miejsce będzie równe, tak jak przystało na demokratyczne dzisiejsze czasy.

Krzesała, w formie okrągłych fotelików z niskimi wokoło poręczami, z wygodnymi szerokimi siedzeniami, stanowiąc wyrugowały poważne krzesła o majestatycznie rzeźbionych wysokich oparciach, na których widok śmiech zamierał, a surowe refleksje, jakieś smutne „memento“ ogarniały biesiadników. Jak tu bawić się wesoło, siedząc na takim antyku, kiedy nietylko jego powaga, ale i niepokój o świeżą toaletę humor nam odbierają? najlepiej bowiem znający usługę lokaj nie był pewien swojej zręczności, podając półmisek przez takie przeszkody, niby przy skoku

wzwyż. Może zarzucą mi moje czytelniczki, że szerokość fotelików nie pozwoli na większą ilość osób przy stole. W tem rzecz właśnie, że nowy zwyczaj nie pozwala prosić naraz więcej, niż ośm do dwunastu osób, — tu jest korona wszystkich inowacji, zmienia, bowiem, nudne, tłumne zebrania w wesołe uczty, gdzie każdy z uczestników, mając conajmniej 70 cm. miejsca, swobodnie się obraca, wygodnie siedzi, jest doskonale obsłużony i rozkoszuje się wybornie podanym obiadem.

Nie krytykujmy zatem nowych zwyczajów, choćbyśmy byli konserwatystami: przyznajmy, że przynioszą nam one wiele dobrego.

S.



U BOGUCHWAŁA MYSZKOROWSKIEGO

Dwa niewielkie okna na Krakowskim Przedmieściu zdają się posiadać niebywały urok. Nawet wystawy jubilerskie nie mogą się poszczycić tak zwartym stałym wianuszkami pięknych pań, jak owe dwa okna. Coprawda, zawartość owych okien dziwnie przypomina gablotki jubilerów. Mieniające się lamy, koronki, artystycznie rozrzucone artystyczne drobiazgi i suknie... suknie, piękniejsze od najpiękniejszych klejnotów! Kilka razy do roku urządza pan B. Myszkorowski w wykwintnych swych salonach pokaz... święto dla wybranych. Odbyna się to w skupionem milczeniu. Po miękkich dywanach bezszelestnie suną prześliczne modelki w bajecznych toaletach — toaletach od Myszkorowskiego. Czasem tylko westchnienie zachwyty przerywa ciszę, ołówki gorączkowo notują, któraś z klientek zapytuje nieśmiałym szeptem o cenę... Niezawodny smak B. Myszkorowskiego pozwala mu na wybieranie z mody pomysłów najtrudniejszych, najbardziej karkołomnych, które w jego interpretacji nabierają szczególnej, nie dającej się naśladować wytworności. W sezonie bieżącym B. Myszkorowski lansuje krynolinę. Krynolinę popołudniową z tafty, złożoną z płaskich, kloszowych falban, z których każda jest zakończona brzegiem z tiulu. Krynolinę wieczorową, złożoną z płatków z lamy srebrnej, krynolinę Velasquez'owskiej Infanty. I wreszcie krynolinę lilas-rose, skombinowaną z tysiącnych, drobnouchnych falbanek, składających się na olbrzymie paniers, paniers bajkowej markizy. Są to perły, wybrane na chybiłtrafił z rogu obfitości kolekcji B. Myszkorowskiego. Wszystkie krynoliny były, oczywiście, znacznie dłuższe, niż inne suknie, i wszystkie miały dół nierówny, jak większość innych sukien.

Wśród innych ciekawych nowości, lansowanych przez B. Myszkorowskiego, muszę wspomnieć o casques (długich bluzach) z wzorzystych brokatów, które, noszone do gładkich spódniczek z jedwabiu w kolorze dobranym do tła, stanowią śliczne sukienki popołudniowe. Kolor czarny dominuje w kolekcji B. Myszkorowskiego; również sporo koloru chabrowego, tak pięknie uwydatniającego jasne włosy i świeżą

cerę. Z materiałów podziwiamy, jako nowość, wełnianą georgette'ę, jeszcze miększą od jedwabnej, i satin ciré, jedwab, robiący wrażenie ceraty, używany przeważnie, jako odrobienie. W szeregu czarnych sukien popołudniowych, jedynem odrobieniem jest połączenie dwóch różnych materiałów: aksamitu i georgette'y, matowego jedwabiu i satin ciré. Szereg płaszczy, o tonach płowych i beige, bramowanych futrami, farbowanemi do cieniu. Jeden z nich, kryty wełną, wyrobu znakomitego Rhodier, i bramowany rysiami, był podbity kasha, co tworzyło okrycie równie lekkie, jak ciepłe i wytworne,—jak wszystko, co wychodzi z pracowni B. Myszkorowskiego. Well.

WYSTAWA PRZEMYSŁU HOTELOWEGO, RESTAURACYJNEGO I CUKIERNICZEGO W POZNANIU

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, że nazwa nie była zupełnie odpowiednia: — przemysłu hotelowego, ani specjalnie stosowanych w nim artykułów niema wcale na wystawie, jeżeli nie liczyć naczyń stołowych i platerów, łóżek metalowych i umywalk marmurowych, dywanów i firanek za przedmioty, wyłączenie do użytku hotelowego służące. Natomiast dział restauracyjny i cukierniczy są bardzo bogato reprezentowane: w każdym nieomal pawilonie, kiosku, stoisku ludzie jedzą i piją, — przedewszystkiem piją. Na samym wstępie spotykamy z ogromnym gustem urządzone stoisko starej firmy poznańskiej „Akqvavit“, pozostałej z dziesięciu fabryk, wykupionych przez polaków z rąk niemieckich. I odtąd fabryka ta pozostaje wyłącznie w rękach polskich: akcjonariuszami są przeważnie ziemianie poznańscy. Kto raz popróbuje specjalności tej firmy: Cherry Brandy, Pomarańczowej lub Curaçao Sec, i przekona się, że nawet po obfitej libacji nie bolała go głowa, — tak powszechny objaw przy użyciu likierów,—będzie stale pijał tylko te marki. O rozmiarach tego przedsięwzięcia najlepiej świadczy to, że jego kapitał zakładowy wynosi 6.250.000—sumę, na nasze stosunki, ogromną. Bardzo gustowny i pomysłowy biało-czerwony pawilon Monopolu Państwowego. Dalej różne znane i mniej znane firmy, to piętrzące się wieżami z butelek likierowych, to skromnie kontentujące się szeregami różnobarwnych wyrobów na półkach, lub w szafach. Potem idą browary; przy każdym z nich probiernia, czasem bezpłatna, czasem połączona z prawdziwą piwiarnią, gdzie konsumują goście mnóstwo wybornych parówek bydgoskich i bułeczek, „okładanych“ innemi wędlinami.

Różne drobniejsze przemysły spożywcze, serki i marcepany, (jedne i drugie, niestety, gdańskie!) ocet i musztarda, ciastka na szmalcu, (à la minute, przyczem trzy konkurencyjne firmy kłócą się zawzięcie i wymyślają jedna na drugą)—zapełniają pawilon. Konserwy wystawiły dwie firmy, wyglądają one ładnie, o ich dobroci przesądzać nie śmiem bez próby. Dużo win owocowych; parę firm poważnych wystawia poza konkursem. Rozlewnia francuskiego szampana

w kraju i duży interes importowy win węgierskich — podobno największy w Polsce—dokompletowują dział napoi, jeśli do nich nie zaliczać wód gazowych i limonjad, które obficie są reprezentowane. Oczywiście, nie brak też kawy i jej surogatów oraz udoskonalonych aparatów do jej palenia i parzenia.

Wiemy, że gazownictwo nasze,—wciąż śledzące za postępem i w dobrem zrozumieniu własnego interesu szerzące umiejętność racjonalnego użytkowania gazu w szerokich masach publiczności,—nie omija żadnej okoliczności dla swej propagandy. Gazownia Poznańska, jak i jej siostra warszawska, urządziła pokazy gotowania; niestety, choroba prelegentki nie pozwoliła mi wysłuchać jej wykładu!

Pokazy te odbywają się na kuchenkach firmy Junker i Ruk, dotąd wyrabianych zagranicą, jednak już częściowo przenoszonych do kraju, tak, że palniki podwójnie oszczędnościowe, zaopatrzone w przyrządy do regulowania płomienia, zabezpieczające minimalne zużycie gazu, oraz małe kuchenki oszczędnościowe są już wyrabiane w Grudziądzu. Na kuchniach i piecach gazowych tej firmy, jak mi objaśnił uprzednie generalny jej przedstawiciel inż. Billewicz, pracuje olbrzymia restauracja wystawowa. Kuchmistrz jej naczelny, p. Bowerski, odznaczający się olbrzymią erudycją gastronomiczną, gdyż wydał książkę p. t. „Wiedza kulinarna“, nie dla zwykłych ignorantów i partaczy, lecz dla umiejętnych kucharzy, zawierająca oprócz setek wymyślonych potraw, dokładną ich cudzoziemską nomenklaturę, wraz z wymową polską, — otóż mistrz ten sztuki kulinarnej raczy gości coraz to innym międzynarodowym jadłospisem. Barwną wstęgą przewijają się potrawy z kuchni: wschodniej, rosyjskiej, włoskiej, francuskiej, polskiej, litewsko białoruskiej(!?) zapowiedziana kuchnia hiszpańsko-portugalska, — zupełnie się dotąd milczy o niemieckiej, której, niestety, Poznań dotąd hołduje.

Moja próba zrazów polskich, przekonała mnie, niestety, że papryka nietylko węgierską narodową jest przyprawą.

Kiedy mowa o kucharstwie i o książkach kucharzskich, specjalna wzmianka należy się „Udoskonalonej książce kucharskiej“ p. ldy Plucińskiej, odznaczonej na wystawie wysoką nagrodą, książce praktycznej i oszczędnościowej, zastosowanej do warunków doby obecnej:—ciężkich warunków materialnych i nieumiejętnej służby. Książka ta wciągu ostatnich lat paru doczekała się już drugiego wydania, co dostatecznie świadczy o jej pokupności. Cukiernie i piekarnie poznańskie bogato obesłały wystawę; wyroby cukiernicze, na mój osobisty gust, nieco nadto wypracowane, wymęczone, że tak powiem, świadczą jednak o staranności i pracowitości wykonawców, smakowo są bardzo dobre; wyborna jest też kawa poznańska. W dziale pieczywa piekarnianego przyjemnie uderza duża różnorodność bułeczek i apetyczny ich wygląd; są przytem nieco tańsze i mniej „gliniaste“ od bułeczek warszawskich.

Śliczne i niezbyt kosztowne meble, precyzyjne roboty, pianina krajowej fabryki, rozmaite drobne przemysły: perfumerja i zabawkarstwo, kleje nierozzerwalne i djamenty do krajania szkła, kwiaty sztuczne i lalki, zajmujące środkowe stoiska drugiego pawilonu,—nadają nieco jarmarczny charakter całej wystawie. Na wyróżnienie zasługują perfumy, wyrabiane w kraju z esencji kwiatowych francuskich, które nakoniec doczekały się zasłużonego, a stale im w Warszawie odmawianego medalu, oraz różne dowcipne czeskie przyrządy do czyszczenia, obierania i foremego krajania jarzyn.

Wspaniały wprost był pokaz ogrodniczy, tak ciekawo, że go oddzielnie opiszę; była to śliczna, duża wystawa, której oddzielny rozdział się należy.

Nie mogę jednak nie powiedzieć słów kilku jeszcze o publiczności poznańskiej, tej „ulicy“, z którą przyjeźdźni na wystawę goście spotykać się muszą. O ile Zarząd Wystawy i jego poszczególni członkowie są uosobieniem uprzejmości, o ile nie szczędzą informacji i objaśnień, nawet swego drogiego czasu na osobiste oprowadzanie gości, o tyle ta ulica jest wprost nietylko już nie uprzejma, lecz ordynarnie niegrzeczna. Idę z olbrzymim bukietem, aby wsiąść do przepelnionego tramwaju, proszę, aby mi kto ten bukiet potrzymał, — żadna ręka się nie wyciąga; — wsiadam z trudnością sama, — bukiet mi momentalnie zgniatają dosłownie na nic. Na pytania o nazwy ulic, albo nic nie odpowiadają, lub arogancko: „Zaś, tego nie mogę powiedzieć!“ lub krócej: „Nie wiem!“ Gdyśmy z jedną z wystawczyń, ładną i elegancką warszawianką, poszły na dancino do restauracji wystawowej, szwajcar zażądał kwitów z garderoby, a ponieważ nie mogłyśmy zdjąć kostjumów angielskich, wrzasnął: „ustąpić się!“ i pchnął mnie, już odchodzącą, tak mocno w plecy, że ledwie nie upadłam; — publiczność otaczająca nie reagowała wcale, uważając to za rzecz normalną, i, mimo interwencji ze strony zarządu wystawy, drab pozostał na swem stanowisku. Nie podnosiłabym tej kwestji wcale, gdyby nie to, że wiosną będą Targi, a za dwa lata Wystawa Ogólno-krajowa i na nią przyjadą nie tylko „ferfluchte Golicjoki z Kongresowy“ lecz i inni Europejczycy. Poznań jest przecież miastem polskiem, któremu wielki czas już pozbyć się naleciałości niemieckich.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

BARANINA PO BRETOŃSKU

Dwukilową pieczeń baranią sparzyć dwa razy gorącym octem. (Octu, używanego do parzenia mięsa, nie należy potem wylewać, tylko zlać w butelkę i przechować do następnego razu). Włożyć w rondel kawałek masła, na to pieczeń, zrumienić dobrze ze wszystkich stron, dodać czterdzieści deka młodego, wędzonego boczką (nie krajanego), dusić, podlewając wodą i od czasu do czasu przewracając, aby się nie przypaliło. Gdy boczek już miękki, wyjąć go, do baraniny dodać dziesiątek średniego rozmiaru cebul i tyleż niedużych, twardych pomidorów. Dusić na bardzo wolnym ogniu. Oddzielnie ugotować czterdzieści deka, namoczonej w wilgę użycia, drobnej perłowej fasolki. Pieczeń pokrajać w ładne plastry, uważając zawsze, aby krajać wpoprzek włókien, żeby były kruche i niewłókniste. Fasolę, dobrze rozgotowaną, wymieszać z sosem od baraniny, ułożyć obok pieczeni, na niej położyć pokrajany w cienkie plasterki boczek,

wkoło półmiska ułożyć uduszone cebule i pomidory. Podać bardzo gorącą. Jest to proporcja na 8—10 osób. Inny sposób, również smaczny, przyrządzenia tej bardzo pożywej potrawy, polega na zastąpieniu fasoli rzepką białą, lub brukwią, ugotowaną na miękko w wodzie z solą i zmieszana z sosem, który się uformował przy pieczeniu baraniny.

FORSZLAK CIEŁĘCY Z BESZAMELEM

Kilo cielęciny od forszlaku z nerczką upiec, lub udusić w rondlu z masłem. Zdjąć z kości, pokrajać w cienkie plastry, nerczkę pokrajać oddzielnie. W pozostałym sosie zrumienić kilka grzybów prawdziwych, pieczarek, lub młodych maślaków, oczyszczonych z wierzchniej skórki i pokrajanych w paski. Łyżkę masła zasmażyć na biało z łyżką mąki, rozprowadzić trzema szklankami mleka, zagotować, wsypać dwie łyżki ostrego sera. W nelsonce układać rzędami cielęciny, nerczkę i grzyby, zalać przygotowanym beszamelem, obsypać grubo tartym serem, zmieszonym po połowie z bułeczką i wstawić w dobrze gorący piec na dziesięć minut, aby się beszamel zrumienił. Podawać bardzo gorące w tem samym naczyniu.

RISOTTO Z SZYNKĄ

Szklankę ryżu podsmażyć z dużą łyżką masła i dużą drobno usiekaną cebulą, aż ryż nabierze koloru kości słoniowej; wtedy podlać go osoloną wodą, aby tylko objęła i dusić zwolna, często potrząsając rondlem, aby się od dołu nie przypaliło, i podlewać po parę łyżek wody. Gdy ryż gotów, — każde ziarnko powinno się ślicznie oddzielać od drugiego, — włożyć dwadzieścia deka przeraśniętej szynki, pokrajanej w dużą kostkę, jeśli są, tyleż pieczarek, przesmażonych w maśle z cebulą. W braku pieczarek — zastąpić je prawdziwymi grzybami, lub młodeymi maślakami, tak samo przyrządzonymi. Pięć średnich pomidorów pokrajać na ćwiartki, wymieszać ostrożnie z ryżem, szynką i grzybami, zagotować parę razy tylko, posypać grubo ostrym, tartym serem i podać bardzo gorące w tem samym naczyniu. Do tego oddzielnie czysty sos pomidorowy.

AMERYKAŃSKI OMLET Z SZYNKĄ

Utrzeć trzy żółtka z trzema łyżeczkami od herbaty mąki i filiżanką mleka; dodać do tego 15 deka przeraśniętej szynki, krajanej w cienkie paski, leciutko osolic. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać razem ostrożnie. Rozpuścić na patelni sporą łyżkę szmalcu, wylać na to niezbyt grubą warstwą masę omletową, zrumienić od spodu, wsunąć na pięć minut pod blachę, aby ścięło po wierzchu, złożyć na połowę, wyłożyć na półmisek i podać bardzo gorący.

Pani Elżbieta.

Dr. med. J. ŚWITALSKA POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH I KOSMETYCE LECZNICZEJ CODZIENNIE OD 5 DO 7.

KRUCZA 31, M. 3.

DOBRE RADY

Chcąc przechować przez dłuższy czas piękne jabłka i gruszki, trzeba je zdjąć ręką z drzewa nie zupełnie dojrzałe, bez najmniejszych skaz i plamek, starannie owinać papierem ołowianym, ułożyć ściśle w skrzynce, przekładając arkuszami waty, i przechowywać w chłodnym, suchym miejscu.

* * *

Ogólnym przesądem jest, że jajka z ciemnymi skorupkami są pożywniejsze od innych. Jest to błędne mniemanie: jedynie jaśniejszy, lub ciemniejszy kolor żółtka dowodzi, że jajko jest mniej, lub więcej bogate w żelazo, a tego przez skorupkę zobaczyć nie można. Do gotowania jednak na miękko i na zimowe przechowanie dobrze jest wybierać jaja z ciemnymi skorupkami, gdyż są one mocniejsze, nie tłuką się i nie psują tak łatwo.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu”. Redakcja „Bluszczu” zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu”. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panię o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani K.K. Leśna-Podlaska. Nie znając zamiłowań, ani uzdolnień Sz. Pani, nie możemy radzić żadnej szkoły zawodowej, gdyż są one bardzo różnorodne. Jeżeli chodzi np. o szkoły gospodarcze, to w Nr. 33 „Bluszczu” jest artykuł Z. Miszewskiej, który zupełnie dokładnie poinformuje Sz. Panią w tej sprawie.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Stroskanej matce. Zbyt częste krwawienie u dziewczynek również jest niebezpieczne, jak i u kobiet w wieku przejściowym. Tak u dziewczyny, jak i u kobiety starszej konieczna jest natychmiastowa porada. Jeśli chodzi tu o zbytnią drażliwość dziewczynki, można poradzić się kobiety-lekarki chorób kobiecych. Nie należy ludzię się, że tej lub owej kobiecie przeszło samo, lub pomogła rada przyjaciółki. Wskazaniem jest bardzo przeczytanie artykułu o krwawieniach w „Kulturze Ciała”.

K. S. Łojotok, jest to cierpienie skóry, które polega na nadmiernym rozszerzaniu się gruczołów łojowych w skórze. Zależnie od natężenia sprawy chorobowej, rozróżniamy łojotok lżejszego i silniejszego stopnia.

Łojotok jest największą plagą cery kobiecej. Jakie są przyczyny tego cierpienia, jest to dotychczas bliżej nieznanne. Przy łojotoku prawdopodobnie odgrywają wielką rolę gruczoły o wewnętrznym wydzielaniu, nieprawidłowe trawienie, zła przemiana materji, niedokrwiłość. Przy leczeniu łojotoku należy zwrócić uwagę na podstawowe cierpienie. Wskazaniem jest dużo powietrza, słońca, kąpieli i obmywanie się gorącą wodą. Należy zwrócić uwagę na odżywianie się. Unikać mięsa, serów i ostrych potraw.

Twarz należy myć dwa razy dziennie wodą gorącą z mydłem cytrynowym, a potem wycierać środkami odtłuszczającymi, oraz pudrować często pudrem higienicznym. Ażeby zapobiec łuszczeniu się skóry, należy dwa razy w tygodniu użyć kremu. Parówki i masaże należą również do środków skutecznych. Łojotok leczy się latami, systematycznym i racjonalnym leczeniem oraz odpowiednią pielęgnacją skóry. Usunięcie łojotoku jest jednym z najtrudniejszych zadań. Do wewnątrz podaje się, zależnie od potrzeby, środki przeczyszczające, np. sól karlsbadzką, środki wzmacniające: żelazo, arszelik, oraz środki drożdżowe. W ostatnich czasach podaje się kefir w dużych ilościach, co daje dobre rezultaty. Pod skórę wstrzykuje się nieraz szczepionki z dobrym rezultatem. W nowszych czasach leczenie światłem górskim daje świetne wyniki. Wszystko to jednak musi być stosowane przez dłuższy okres czasu, by efekt odpowiedni na stałe osiągnąć.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

| | |
|--|----------|
| palto, lub suknia fantazyjna | zł. 3.50 |
| suknia zwyczajna | „ 2.50 |
| bluzka | „ 2.00 |
| formy dziecinne | „ 2.00 |
| bielizna | „ 1.50 |

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Potrawy i konserwy z grzybów”

SPOSOBY UŻYTKOWANIA POSPOLITYCH I MNIEJ ZNANYCH GRZYBÓW

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU ROBÓT W „BLUSZCZU”

INFORMACJE TELEFONICZNE

DO G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.